

Nr 2 (41)

2010



ISSN 1732-1069



PEGAZ LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH - ODDZIAŁ W GORZOWIE WLKP.

Leszek Żuliński

POEZJA TRZECH POKOLEŃ

czyli

śmierć starych zubrów i galopy młodych bizonków

Poezja w naszym kraju nigdy nie była ponad życiem ani obok niego. Wyrastała z życia, tętniła jego sokami, zarażała się jego arytmia, była zwiastunem lub echem wszystkiego, co działo się na społecznej i narodowej scenie. Marzenia, by być sztuką dla sztuki, były incydentalne lub wręcz nierealne. Etos historycznej odpowiedzialności za losy narodu i roztrząsania fundamentalnych dylematów życia zbiorowego – ten etos był wpisany w normy i obowiązki poezji polskiej od chwili, gdy Jan Kochanowski napisał swą „Pieśń o spustoszeniu Podola” (1573), ten etos przeżywał swoje apogeum w dobie stanisławowskiej, burzliwych latach romantyzmu, latach II Rzeczypospolitej czy ponurych czasach wojny. Bagaż odpowiedzialności za polskie „być albo nie być” był przekazywany sobie przez wszystkie pokolenia literackie i z tych zasadniczych trosk poezji wypływały jej pozostałe, nie mniej ważne pytania: pytania o historyzoficzne reguły zbiorowego istnienia, o postępowe reakcje łączące większość we wspólnotę, o uniwersalne – doraźne a zarazem trwałe – drogowskazy moralne, o konsensus pomiędzy dążeniami jednostkowymi a społecznymi, wreszcie o filozoficzne i kulturowe niuanse godzące niezbywalną polskość charakteru z ogólnoludzkim przeznaczeniem.

cd. na str. 3-9

Jerzy Gąsiorek
(GAŚSIOR)

List do prawnika

Kim jesteś
jak masz na imię
czy jesteś z kobiety
jak wygląda miasto ulica
dom w którym mieszkasz
czy coś ci dolega
zapewne opanowano wiele chorób
jakie są teraz groźne

Czy jest jeszcze Polska
i czy wierzysz w Boga
czy ostały się kościoły szkoły
czy jest miłość czy tylko żądza
i czy jest poezja... wzruszenie
czy ludzie rozmawiają ze sobą
jak kiedyś
a może tylko przez skajpa

Czy byłeś już na Marsie
może gdzieś dalej
czy ostały się lądy lodowce
i czy wreszcie ustały wojny!?

Kiedy list ów będziesz czytał
jaka jest data w twoim kalendarzu
bo w moim A. D. 10 stycznia 2010.

Marek Grewling

ISLANDZKI WULKAN



POLSKA WIOSNA

Co za wiosna! Zimno, wietrznie i deszczowo. Nie chce się wychylić nosa z domu. Najmniej przyjemne jest to, że nie wiadomo, co będzie dalej, tym bardziej że prognozy są niejednoznaczne.

Wygląda na to, że wszystkiemu winny jest nieszczęsny wulkan Eyjafjallajokull. Już sama nazwa zniechęca, a tutaj proszę, nazwa z całą niemiłą zawartością na naszych głowach – dosłownie i w przenośni. Jakbyśmy mało mieli problemów na własnym podwórku. Zatem na ocieplenie ani na stabilizację wyraźnie się nie zanoś. Chciałoby się powiedzieć: oby do lipca, jednak czy oczekiwanie na magiczne skutki nadejścia pierwszej dekady lipca nie jest jakąś mitomanią? Wszystko przez ten wulkan o pokreślonym imieniu. Ludzie zaczynają pleść głupoty i wbrew obietnicom poprawy, które tak ochoczo składali jeszcze kilka tygodni temu, stają się jeszcze bardziej przewrotni. Nieszczęsna erupcja odbiła się na stanie polskich serc. Tacy już jesteśmy, ciągle jakieś zewnętrzne czynniki burzą nasz święty spokój.

cd. na str.2

Projekt: Furman

Wiosna tegoroczna dała nam, ludzkości wybranej, popalić. Ano, mawiały nasze dziady: WOLA BOSKA I SKRZYPCE!

Trudno się z nią godzić, jak się widzi z bliska i z daleka ogrom tragedii kaskadowo spływających, jak ulewa z nieba, na posypane popiołem wulkanicznym głowy... Dziadowie mieli lepiej: nie przeglądali świata w okienku TV. Żeby coś na własne oczy zobaczyć, musieli się tam, gdzie się coś dzieje, udawać. A my, z lenistwa, nie musimy. Nic nie musimy, więc może to nie WOLA a KARA BOSKA? Myślałem, że mój ekspert od transcendencji, ksiądz Marek, weźmie się za ten temat, a on zajął się pozytywizmem, w którym upatruje zbawienie narodu. Ale jeśli kara, to za co? Cośmy Najwyższemu zawinili w tym najwierniejszym mu od pokoleń kraju? Ostatecznie jeśli ktoś grzeszy, to płacz i zgrzytanie zębów ma jak w banku po śmierci, więc dlaczego za życia tyle w nas płaczu? Zwykłego, ludzkiego i narodowego? Mądrość ludu do boskiej woli doczepiła SKRZYPCE..., byśmy żale i troski topili w ich boskich, wiolinowych trelach. Jesteśmy na tej ziemi tylko chwilowo. Nie zatruwajmy sobie życia. Żyjmy i pozwólmy żyć innym. Może wtedy więcej w nas będzie radości niż płaczu. Nikt nie ma więcej szczęścia niż my ludzie. To za nas Pan doświadczał Hioba i za nas Chrystus umierał na krzyżu. Nasz poeta, brat-lata Kazik Furman miał za życia sposób na te dylematy. Uczłowieczał Chrystusa i sam wchodził w jego rolę na ziemi. Niewiele mu było potrzeba do życia. Szklanka piwa, papierosy i kobieta podobna Marii Magdalenie. Wiele jej jest w jego wierszach i opowiadaniach. Nastal wreszcie czas pięknej pogody, wody opadną, śledztwo się zakończy, wulkan się zamknie, Stal wygra bonusa z Falubazem (jakże go Kazik nie lubił) i wszyscy znów się spotkamy za rok na Nocnym Szlaku Kulturalnym. W tym roku najważniejszym jego wydarzeniem był koncert zatytułowany „Projekt: Furman”.

Po śmierci Kazika Furmana (październik 2009) młodzi muzycy skupieni w różnych formacjach przy klubie „Magnat” (MCK) zainteresowali się jego tekstami jako twórcy do piosenek. Przygotowali nie tyle piosenki z tekstami Kazimierza Furmana, co swoje kompozycje wzbogacone dość swobodnie wykorzystanymi jego wierszami lub tylko ich fragmentami. Nie wiadomo, czy Kazimierz Furman zaakceptowałby tego rodzaju przemianę swoich wierszy, jako że sam ogromnie dbał o zwięzłość wypowiedzi, bez powtórzeń słów lub fraz (tu są bardzo liczne), bez obcinania tekstu wiersza z góry lub z dołu (tu duże skróty). Ale inną funkcję pełni tekst w wierszu, a inną w piosence. Wszystkie operacje na tekstach Furmana schodzą na plan dalszy, bo zaprezentowane utwory znakomicie się bronią. Dominująca w nich stała się muzyka, znakomicie zaaranżowana na oryginalne składy instrumentalne i głosowe. Choć podczas koncertu wyczuwało się, że materiał jeszcze nie jest w pełni gotowy, już można być przekonanym, że rodzi się ciekawa płyta. A inspiracją do niej były wiersze poety Kazimierza Furmana. Gorzowscy aktorzy przeczytali także kilka wierszy Furmana w pełnej wersji, chyba jednak za mało, aby ukazać różnicę między autentyczną jego twórczością a tym, co muzycy wybrali do zaśpiewania. Koncert odbył się na dziedzińcu Urzędu Miasta, w miejscu wykorzystywanym po raz pierwszy, które zdaje się być idealne do tego typu prezentacji: centrum miasta, a przestrzeń oddzielona od odgłosów, zamknięta ścianami budynków, a obszerna, umożliwiającą udział wielu widzów lub słuchaczy. Wynalazł ją Zbyszek Sejwa – szef klubu „Lamus”. Monika Szalczyńska przygotowała prezentację multimedialną towarzyszącą koncertowi. Jej głównym bohaterem był Kazimierz Furman, ale najważniejszy okazał się nastrój wzbogacający koncert i poezję. Przez ponad godzinę czułem się szczęśliwy przy wierszach Kazika i muzyce do nich. I widzicie, jak mało mi do szczęścia potrzeba? Jak Kazikowi „Pod Filarami”.

Ireneusz K. Szmidt

Tym razem wypadło na Eyjafjallajokull. Tak się w naszej historii i terażniejszości działo i dzieje, że zewnętrzne (ciśnię się słowo: „obce”) czynniki uniemożliwiają nam okazanie naszego piękna i zacności, że nie wspomnę o pracowitości, szczerości i przysłowiowej polskiej uczciwości. Tak byśmy chcieli, tyle w nas potencjału, ale cóż, a to rozbiory, a to najazdy, a to zima stulecia, a to sąsiedzi przewrotni i zagraniczni ma się rozumieć, a to powódź, a teraz – no masz – islandzki wulkan, a na deser wielka plama ropy u amerykańskich brzegów. Jakby się czuło pewną schadenfreude, a co tam, niech mają, rozbiorów i okupacji nie przeżyli, niech brzegi sprzątają i za zanieczyszczenia płacą światu. Psychologia posługuje się terminem: mechanizm obronny ego, czyli taki, który pozwala wciąż uważać się za dobrego człowieka, pomimo naruszania własnych zasad moralnych. W XIX i na początku XX wieku świątli Polacy ukuli hasła-drogowskazy do wielkiego dzieła odzyskania niepodległości i odbudowy Ojczyzny. Mam oczywiście na myśli pracę organiczną, rozumianą jako budowanie solidnej bazy gospodarczej opierającej się na efektywnym przemyśle i przedsiębiorczości, zaangażowanie w dzieło pracy pozytywnej całego organizmu społecznego i pracę u podstaw rozumianą jako wydobywanie szerokich warstw społecznych z mentalnego i ekonomicznego zacofania. Tak, mowa o pozytywizmie, jakże niepopularnym wśród nas w praktycznym zastosowaniu. Pozytywiści nie uznawali czczego gadulstwa i bezpłodnego politykierstwa. Byli ludźmi pracy i w pracy upatrywali źródła wolności, dostatku i szczęścia w wymiarze narodowym. Mieli na tyle odwagi, żeby po imieniu nazwać nasze narodowe przywary nie zwalając winy za polskie nieszczęścia na okoliczności i czynniki zewnętrzne. Pozytywiści po prostu – każdy na miarę swoich możliwości, umiejętności i potencjału – zabrali się do twórczej pracy. Bez fanfaronady, bez nawoływania do powstań, do przelewu krwi i powiewających sztandarów, bez patetycznych słów. To była wielka, trwająca dziesięciolecia bitwa o Polskę. Polem tej bitwy stały się nowoczesnie zarządzane latyfundia, vide wielkopolski majątek Dedyderego Chłapowskiego w Turwi, inicjatywy przemysłowe, bankowe i cała paleta przedsięwzięć natury strictly ekonomicznej. Wypada wspomnieć Bank Ludowy założony w Śremie przez ks. Piotra Wawrzyniaka czy wielkie dzieło przemysłowe Hipolita Cegielskiego, który z wykształcenia był doktorem filozofii, z zamiłowania literaturoznawcą i publicystą – tak, tak – ale to on właśnie stworzył w Poznaniu sklep z narzędziami, który w niedługim czasie przekształcił najpierw w warsztat naprawy pługów, a później w wielką fabrykę maszyn rolniczych. Innym przykładem jest Karol Marcinkowski, założyciel Spółki Akcyjnej Bazar. To oczywiście jedynie wybrane przykłady.

A skutki działań pozytywistów? Nie do przecenienia. Nie byłoby osiągnięć gospodarczych II Rzeczypospolitej, choćby takich jak budowa miasta Gdynia, magistrali kolejowej Śląsk-Bałtyk, wielkiego Centralnego Okręgu Przemysłowego i wielu innych, nie byłoby tego wszystkiego, gdyby nie fundamenty położone przez ludzi oddanych pracy organicznej. Mimo wsparcia ze strony postępowych publicystów i pisarzy vide Adolf Dygasiński, Aleksander Głowacki (Bolesław Prus), Eliza Orzeszkowa czy Aleksander Świętochowski, organicznicy nie byli popularni wśród współczesnych sobie, zresztą tak samo jak nie są popularni dzisiaj. Wystarczy przyjrzeć się, jakie nazwiska i hasła noszą nasze ulice. Ich nazwy broczą krwią, jasnieją łunami i drżą od szarż. Nazwisk bohaterów pracy organicznej jakoś nie widać na placach, ulicach i mostach. To, niestety, smutna refleksja. Gdy cytujemy nazwiska tych jakże zasłużonych patriotów, większość wykształconych ludzi musi się dobrze zastanowić, aby przypomnieć sobie, kto to taki. A przecież nie można pokoleniu pozytywistów organiczników odmawiać miłości do Ojczyzny i bezsprzecznych zasług dla Niej.

Co za wiosna, od tego zimna i deszczu pojawiają się chłodne refleksje.

A wulkan bez przerwy dymi i dymi. Jednak czy naprawdę tylko on jest winny smutkom tej wiosny?

Marek Grewling

cd. ze str. 2

Poezja nigdy nie była sztuką recept gotowych, łatwym odnajdywaniem drogi – bywało, że zasygnalizowane antynomie były przez nią jaskrawo jątrzone, ale nawet w błędzeniu odbija się faktura życia umysłowego, ideologii i kolejnych wiar, które wyznaczały ewolucję naszych losów. Szczególnie trudny był wybór pomiędzy „ja” a „my”, pomiędzy ojczyzną Indywiduum a ojczyzną Wspólnoty. I chociaż w tej mierze patriotyczny obowiązek poezji nigdy nie został zaniedbany, to konflikt sumienia i odczuwania został jak gdyby wpisany w trwale dylematy liryki, w ogóle literatury, i miał swoje odbicie we wszystkich epokach. Przewija się także jako leitmotiv współczesności. Co jest ważniejsze: być Polakiem czy człowiekiem w ogóle? Dylemat Norwidowski! Ten wątek, na szczęście, nigdy nie został doprowadzony do dramatycznej alternatywy, ale także zjednoczenie racji nie dokonywało się bezkonfliktowo, nie było łatwe ani oczywiste. Można zaryzykować, skądinąd przejrzystą tezę, że rygory potrzeb życia zbiorowego w poszczególnych okresach regulowały ów trudny wybór, lata spokoju i stabilizacji zwiększały swobodę indywidualistycznych i uniwersalistycznych zainteresowań, zaś historyczna dominacja zbiorowych celów podporządkowywała lirykę „pro publico bono”.

Powszechne zrozumienie i uznanie odnosiła zazwyczaj ta poezja, która – oprócz oczywistych oryginalnych walorów artystycznych – potrafiła jednoczyć alternatywy i ultimata, potrafiła stworzyć wizerunek człowieczeństwa pełnego, w którym prywatność i obywatelskość istnienia, jego historyczna niepowtarzalność i boska wieczność były nierozzerwalne. Rzadki sukces leżał i tam, gdzie skala wyobraźni – jak u Bolesława Leśmiana – przebijała wszelkie inne karty. Ale na ogół nawet wielcy eksperymentatorzy, jak chociażby Julian Przyboś czy Miron Białoszewski, dochodzili do tematów, które przestawały być tajemnicami wyłącznie Formy.

*

60 lat powojennej poezji polskiej to sporo, to tyle samo czasu, ile trwały dwie literackie epoki – romantyzm i pozytywizm. Zdarzyło się wiele. A jednak niektórzy krytycy twierdzą, że ostatnia cezura artystyczna naszej poezji miała miejsce w czasach Awangardy Krakowskiej i Tadeusza Peipera i od tej pory nie nastąpiła radykalna zmiana ani warty, ani paradygmatu. Coś w tej tezie jest, ale z drugiej strony historyczny i ustrojowy przełom, który wykryształizował się w latach 1939-1944, uruchomił tak szeroką lawinę przeobrażeń, że musiały one powołać do życia nową specyfikę utrwalonego w poezji świata. Poezja zderzyła się z nową rzeczywistością, której losy i reguły odegrały dla liryki rolę oczywistej, obowiązkowej partytury. Partytura ta nie została, bo nie mogła być, odrzucona. Jeszcze raz uzależnienie sztuki od realnej rzeczywistości świeciło swój triumf.

ZDZISŁAW MORAWSKI

* * *

Co po mnie ostanie?
Pytam staroświecko
Jak dawniej pytali z trwogą w testamentach
Co z języka ostanie?
Jaka żyźność ze śladu po piórze żurawim
Co wirem opada do własnego cienia
Kołując się na nim.

Pewnie opis ryby jako ptaka wody
Może sieci bogate znakami sielawy
Może ufność do wiosła, dłuta, centymetra
Którym deskę wymierzysz nim zamienisz ją w pawęż
Może sęków skrzypienie
Może próg mój życzliwy
I drzwi otwarte jako usta domu
Do codziennych zaproszeń na biesiadę słowa

Zapewne i kamień – świadek moich stąpań
Do głębi życia, do małych wyrobisk
Gdzie tropem słoików ukrytych w granicie
Prowadzi droga do kostek szczęśliwych

Tam moje ślady gdzie leśne przecinki
Gdzie są korzenie rwane w szczapy smolne
Pachnący żywicą w zimie drwali płomień
Ogień whartowany w pily i topory

Emigracja w Gorzowie

Być emigrantem w Berlinie, Paryżu
Chodzić z pomrukiem Polska na Plac Inwalidów
Stać wśród tłumy przechodniów na ulicach Wedding*
Słuchać głośnych Francuzów i burczących Niemców
To jest – powiadają – emigrantem być
Zapewne fizycznie
Zapewne dotykami
Rąk do samochodów, stóp do cudzych bruków

Lecz być obcym wśród swoich
Być emigrantem pośród lanów żyta
Walczyć o chleba kromkę
O kostkę cukru
O słowo
I ból ludu opisać tymi wyrazami
Co jak maszkarony w konwulsjach się wiją
I wiersz nieść w kolejce gdzie go nie drukują
I słuchać zdań wielu od szyderstwa sytych
Szukać swego Nobla jak worka kartofli
To jest – powiadają – tu być emigrantem

Być sprawcą poezji
I wiersza i życia

*) Wedding – robotnicza dzielnica Berlina, w której rozpoczyna się Bernauerstrasse. Wzdłuż chodnika tej ulicy, leżącej w zachodniej części Berlina, przebiegał mur dzielący Berlin Wschodni i Zachodni.

Ta przejmująca prawidłowość była czytelna już w pierwszych tomikach wydanych w PRL. Jeszcze nie był zdobyty Berlin, jeszcze toczyła się wojna i pochłaniała swe ofiary, gdy w wyzwolonym Lublinie ukazały się trzy skromne książki poetyckie: Jerzego Putramenta „Wojna i wiosna”, Juliana Przybosia „Póki my żyjemy” oraz Adama Ważyka „Serce granatu”. W tych wierszach starsi bracia Kolumbów poszukiwali wyjścia z lat pożogi. W Lublinie wyjście rysowało się konkretnie, nawet szybko stało się faktem, lecz niezbyt dla wszystkich zachwycającym. Spór o kształt nowej rzeczywistości nie zdominował jednak literatury. Ważniejsza okazała się psychiczna, moralna i historyczna katharsis. Równieńczy Juliana Tuwima i Juliana Przybosia oraz młodszy nieco od nich Kolumbowie musieli przede wszystkim utrwalić doświadczenia wojny i z tego dramatycznego zapisu stworzyć zręby powtórnego startu w życie. Toteż tomiki z lat 40. czynią wrażenie osobliwego monolitu tematycznego. Wypełnione są po brzegi świeżą, bolesną pamięcią wojny – i taki obraz literacki jest tu zdecydowanie dominujący. Dopiero po kilku latach okaże się, że podobieństwo i dramatyzm wojennych doświadczeń nie będą jednorodne w późniejszych postawach: jedni, jak Władysław Broniewski, przełamają swoją gorycz, inni, jak Tadeusz Borowski, załamują się, a jeszcze inni, jak Czesław Miłosz, zaczną zapisywać oddzielny, nowy rozdział poezji emigracyjnej. Będą i tacy – jak Konstanty I. Gałczyński – których triumfalny powrót do kraju skończy się tu, na miejscu, chwilową anatemią.

Ale po 1949 roku, mobilizującym poezję wokół stanowczo skonkretyzowanej i już zakorzenionej w praktyce społecznej ideologii socjalizmu, nie nastąpiła depolaryzacja postawy i przekonań. Realizm socjalistyczny, znajdujący swe oparcie w niespotykanym tempie i skali odbudowy kraju, przyciągnął entuzjazm i wiarę większości liryków. Do dziś nie wiadomo dokładnie, na ile szczerze, na ile koniunkturalnie – w „Hańbie domowej” Jacka Trz nadła poeci rozmaitości tłumaczyli się z zamroczenia heglowskim ukąszeniem. Schematyzm i fetyszyzm poetyckiego świata oraz języka, nazbyt bierne podporządkowanie literatury propagandowym, doraźnym i spragmatyzowanym celom nie służyło jej wielobarwnym tonacjom, obróciło się przeciwko formie, z poszukiwania której żadna sztuka rezygnować nie może, ale także przeciw etosowi człowieka – bohatera pracy, którego zbyt uproszczenie i skodyfikowanie prowadziło ku trywializacji artystyczno-intelektualnym. Warto jednak dziś przypomnieć sobie te liczne zapomniane tomiki. Przestały chyba już, po latach, drażnić czy śmieszyć. Przegrały one na zawsze swoją szansę dobrej sławy, lecz niosą refleksję nad osobliwym fenomenem socrealizmu, z którego dzisiaj wynosimy już nie tylko przestrogi. Osobliwe jest to, że nie wszyscy autorzy tych tomów stracili swe miejsce w literaturze. Przeżywali swe dramatyczne apostazje, nie tylko ideowe, także artystyczne, i potrafili na nowo zwrócić się ku poezji oryginalnej i wspianiale kreacyjnej.

Najbardziej pouczającym przykładem tego przelomu wydaje się twórczość Adama Ważyka, tego, który był

PAPUSZA (Bronisława Wajs)

Przychodzę do was

Nie przyszedłem do was, byście jeść mi dali,
Przychodzę, byście chcieli mi uwierzyć.
Nie przyszedłem do was po wasze pieniądze.
Przychodzę, byście rozdali je wszystkim.
Przychodzę do was z podartych namiotów,
wiatr je poszarpał i zabrała woda.
Proszę was wszystkich, proszę starych ludzi
i małe dzieci, i piękne dziewczyny,
zbudujcie domy srebrne jak namioty,
co w lesie stoją pobielone mrozem!
Nie przyszedłem do was po wasze pieniądze.
Przychodzę, byście wszystkich przyjął chcieli,
żebyście czarnej nocy nie czynili
w biały dzień.

KAZIMIERZ FURMAN

* * *

Spóźniłem się o jedno życie
O dziesięć lat o chwilę
A był dobry czas by garbić się do ziemi
I zapomniałem zdjąć zasłonę z twarzy
Gdy inni wyciągali z rękawiczek dłonie
Kładąc na tacy linie papilarne
Zapomniałem bogów codzienności
ich nazwiska

Imiona
Adresy

Wstąpiłem w cień klasztoru
Gdy inni w szeregi wstępowali
Kryjąc przed nimi niespodzianki twarzy
Potknąłem się kilka razy o historię

I chociaż zrywam kartki z kalendarza
Zegar czas kręci byle jak

MARIA PRZYBYŁAK

Remanent

Lubiłam te balie z pieluszkami
karmienie soczki herbatki
kaftaniki rajtuzki
co rok prorok
elementarz dnia
minęły zmartwienia
zapalenia odry koklusze
była radość ze stopni
z matmy religii polskiego
za mną śluby wnuczka
dalszy ciąg rodowodu
jestem na drugim
końcu mostu spokojna
o bezpieczne dojsię
do b r z e g u

głównym prawodawcą socrealizmu, który najostrzej rozpoczął odwrót „Poematem dla dorosłych” i który po 1956 roku – odszedłszy na drugi plan – napisał swe najlepsze wiersze. A także jako wybitny tłumacz otworzył okno na poezję wiejącą z Zachodu.

Ale 1956 rok to nie tylko odwroty, apostazje i ekspiacje. Nie tylko dlatego, że byli i tacy, którzy za cenę milczenia na ten rok czekali. Przede wszystkim dlatego, że nastąpiły zewnętrzne warunki korzystne dla zmiany warty. Była ona pokoleniowo niespójna, z jednej strony debiutowali rówieśnicy Kolumbów, jak Miron Białoszewski czy Zbigniew Herbert, z drugiej – ich młodsi bracia, urodzeni w latach trzydziestych. Ale wszyscy oni zostali zjednoczeni magią antysocrealistycznej kontrtradycji. Uniformizujący szablon socrealizmu został zrzucony jak skorupa. Czasami były to akty niezwykle, spektakularne, jak np. w przypadku Andrzeja Bursy (a w prozie – Marka Hłaski), ale najczęściej zaczęto po prostu doceniać walory „poetyk zakazanych”: ponętny okazał się wiersz Różewiczowski czy groteska i ironia rodem z Gałczyńskiego itp. Przede wszystkim jednak zrehabilitowano poetycki formalizm i estetyzm, mające wiele pozaideowych funkcji. Efekty bywały różne, ale nagle równouprawnienie rozmaitych poetyk oraz odmiennych interpretacji świata i człowieka przyniosło bogactwo zjawisk, które ożywiły poezję polifonicznym gwarem. Symboliczny pod tym względem był sławny „debiut pięciu” na łamach „Życia Literackiego” w 1955 roku. Obok siebie pojawiły się wiersze Mirona Białoszewskiego, Stanisława Czyczka, Bohdana Drozdowskiego, Jerzego Harasymowicza i Zbigniewa Herberta, wiersze świadczące o jakże odrębnych indywidualnościach, których wspólnota oddaje dopiero temat poetycki tamtej doby. A do tego słynnego kwintetu trzeba przecież dołączyć jeszcze Stanisława Grochowiaka, Ernesta Brylla, debiutujących nieco wcześniej Tadeusza Nowaka i Tadeusza Śliwiaka oraz dziesiątki innych.

W latach 1955-1959 eksplozja debiutów była ogromna. Dość powiedzieć, że powojenny boom poetycki przypadł właśnie na wspomniany okres oraz – po raz wtóry – na drugą połowę lat 70. Ale rozmiary tych zjawisk uświadomimy sobie dopiero, kiedy uwzględnimy tych wciąż jeszcze wtedy piszących z generacji Leopolda Staffa, Juliana Tuwima, Mieczysława Jastruna, Kazimiery Hłakowiczówny, którzy debiutowali jeszcze przed I czy II wojną światową, a potem nadal tworzyli w PRL. Obecnie ta wielopokoleniowość poetyckiej rodziny jakby uległa spłaszczeniu, chociaż od roczników 30. do roczników 80. rozciąga się różnica półwiecza.

W każdym razie po euforii 1956 roku liryka na powrót odkryła swe bezgraniczne możliwości warsztatowe i problemowe, odkryła nowe szlaki, które nęciły wielością perspektyw. Każdy mógł w niej odnaleźć taki wizerunek świata i słowa, jaki był mu szczególnie bliski. Czy mimo to – mimo mądrych wierszy Herberta, obrazoburczych ataków Bursy, czułych liryków Grochowiaka i Harasymowicza, prowokujących tekstów Różewicza i szokują-

DARIUSZ MUSZER

* * *

Ostatniego dnia zeszłego roku
w pociągu jadącym z poznania do gorzowa
spotkałem dziadka
mówił że do syna na nowy rok
ja że do żony
on że pierwszy raz od dziesięciu lat
ja że co tydzień
i szeleściło powietrze między wagonami
i stuk stuk to koła żelazne
i konduktor że jeszcze kawał czasu
i możemy być spokojni bo jeszcze daleko
a my że niepotrzebnie do miejsc
które chcemy odwiedzić
ten pociąg tak szybko jedzie
może coś się stanie
żebyśmy mogli dłużej
i trochę inaczej

ELŻBIETA SKORUPSKA- RACZYŃSKA

Autoportret przekorny

Nigdy nie będę Matką Polką
Nie przemycę
wiary
w zdrowe – chore idee
Nie wdzieję pokutnych szat

Wyblakły obraz Penelopy
już dawno pogryzły mole

Oto ja
westalka mikrofalówki
Pomiędzy jednym a drugim sukcesem
rozmawiam
Odgrzej jedzenie
Wyprowadź psa
Pa
Całuję mocno
kartką
ukrzyżowaną na drzwiach lodówki

A na poźółklej fotografii
babka Marianna
z czułością patrzy na nas

Taka ciepła

cych Białoszewskiego – poezja ta dotarła do sedna naszych zbiorowych trosk? To pytanie pozostawmy otwartym; na temat literackiego bilansu przetoczyła się, zwłaszcza w 1984 roku, krytycznoliteracka debata i tam należy poszukiwać odpowiedzi na pytania zasadnicze, stawiane także w najwybitniejszych książkach eseistycznych Edwarda Balcerzana, Jana Błońskiego, Henryka Berezy, Ludwika Flaszena, Jerzego Kwiatkowskiego, Andrzeja Lama, Jacka Łukasiewicza, Artura Sandauera, Andrzeja K. Waśkiewicza i innych.

Wydaje się jednak, że tzw. drugi rzut cezurę poetyckiej 56 roku, pokolenie „Współczesności”, a potem Orientacja Poetycka „Hybrydy” wykorzystwały polifoniczne doświadczenie swych poprzedników. Minęła jednak doba debiutów spektakularnych, nie został pogłębiony czy zdystansowany liryzm Grochowiaka lub powtórzony twórczo reizm Białoszewskiego. Tomiki na skalę „Obrotów rzeczy”, „Wieży melancholii” czy „Struny światła” jakby rzadziej się ukazywały, chociaż pojawiły się talenty rodzaju Zbigniewa Jerzyny, Krzysztofa Gąsiorowskiego czy Janusza Żernickiego. Dziś zarzuca się temu pokoleniu nadmierny symbolizm, klasycyzm, estetyzm i „introwertyzm” zbytnio fetyszujący dylematy wnętrza, ale przecież poeci ci to ostatnie pokolenie, które „uklasyfikowało” się, zamknęło jakiś bezdyskusyjny kanon powojennej poezji. Była to także formacja najbardziej zmarnowana przez typowo polskie upolitycznianie kontekstów literatury. Dążyła ona do uniwersalizacji Sensu i Słowa, do usytuowania poezji w niezależnych raz na zawsze przestrzeniach estetycznych i egzystencjalnych – lecz wytknięto jej to szybko jako eskapizm i pięknoduchowstwo, a nawet jako oportunistyczny polityczny. Dziś dopiero zatacza się to koło. Ostatnie tomy Gąsiorowskiego, Jerzyny, Wawrzkiwicza i Żernickiego wybijają się ponad zgłębienie klótni o racje i oracje; są realizacją poezji wielkiego formatu.

Jedno jest pewne: pomiędzy 1945 a 1965 rokiem kolejne generacje miały bądź jasno wytyczony bagaż obligacji historycznych, ideowych i biograficznych, bądź sprecyzowany i w miarę klarowny kierunek tradycji lub antytradycji. Ta klarowność dała efekty różnego lotu, ale wydaje się, że równowaga klęsk i sukcesów jest oczywista. Jeśli nawet nie powstał zwarty program poetyckiego ogarnięcia rzeczywistości, to powstało odbicie jej wzlotów i upadków, jeśli nie wyloniła się z liryki alternatywa, to wylaniały się niepokoje i demaskacje. Na pewno zaś wyrosły wielkie indywidualności, których dorobek dla kultury powojennej Polski jest niezbywalny: obok nazwisk wyżej wymienianych Miron Białoszewski, Stanisław Swen-Czachorowski, Stanisław Grochowiak, Marian Grześczak, Jerzy Harasymowicz, Julia Hartwig, Anna Kamieńska, Tymoteusz Karpowicz, Czesław Miłosz, Tadeusz Nowak, Jan Bolesław Ożóg, Józef Ratajczak, Tadeusz Różewicz, Wisława Szymborska, Tadeusz Śliwiak, Roman Śliwonik, Jan Twardowski, Tadeusz Uragacz i wielu innych.

W konfrontacji z tą sytuacją, utrwaloną zaledwie w ciągu pierwszych dwudziestu powojennych lat, niełatwo

IRENEUSZ KRZYSZTOF SZMIDT

Jak minął rok

1.

Jak minął twój rok
ile lat ci przybyło
ile życia ubyło
co za tobą co przed ...
wzwyż do nieba lat sto
a do ziemi już krok

Nie przelaleś dla niej
ani kropli tej krwi
którą z mlekiem matki
wyssałeś
Podeptałeś jej drogi
w butach i oponach
wypływał jej wody
żaglami
ramionami
otwartymi
wgarniałeś
ziemskie w siebie pokarmy
czemu więc nie dotknęłaś
linii horyzontu
czy dlatego że młodość
odarto ci z marzeń?

2

Czy znalazłeś już miłość
którą głupio zgubiłeś
w tłumie, w zgłębieniu, w jurności
w biegach krótkich
do odległych met?

Nie rzuciłeś się za nią w pościg
mogłeś chociaż wysłać list gończy
Myślałeś na tej jednej
życie się jeszcze nie kończy

Głód jej smaku i nienasycenie
szły przez lata za tobą przed tobą
aż spotkałeś na drodze
bardziej godnych litości
niech historia się snuje
niech zaświadcza przechodnie
jak wiele można zgubić
jak niewiele odnaleźć...

był moment startu tzw. ruchu młodopoezyckiego. Synowie Kolumbów chwycili za pióra w dobre małej (gomulkowski) stabilizacji, lecz równocześnie narastającego kryzysu wartości. Pokolenie 68 nie chciało i nie mogło już się utożsamić z kilkoma szeregami poprzedników. Pragnęło odnaleźć swój nowy, własny język i nową, własną rzeczywistość. Powróciła jak bumerang nadzieja w poezję publicystyczną, zaangażowaną społecznie, walczącą o zbiorowość.

Kontestacja „Nowej Fali”, z krakowską grupą „Teraz” na czele, zaczęła się od demaskacji mistyfikujących ról gazetowej nowomowy, a skończyła na tropieniu mechanizmów „organizmu zbiorowego”, jakim jest konkretne, ludzkie tu i teraz. Ale zbyt liczne okazały się pułapki zbiorowej poetyki i ideologii artystycznej, atak nie zastępował programu, publicystyczność nie stymulowała realiów. To też po 1975 roku odpowiedzią na bezsilność „Nowej Fali” miał być – na zasadzie gry przeciwieństw – ruch „Nowej Prywatności” doceniający bardziej rolę uniwersalnej i indywidualnej interpretacji życia. Lecz ochrona strefy prywatnej znowu nie okazała się kluczem ku rozwikłaniu ogólniejszych zagrożeń, jakże przecież wrażliwie przeczuwanych. Z dzisiejszej perspektywy „Nowa Prywatność” była propozycją raczej niedocenioną, ale zaistniała jako pierwsza próba przeciwstawienia się „Nowej Fali”. W tym samym czasie nie sięgnięto do dokonań Orientacji Poetyckiej „Hybrydy”, wylanej jak dziecko z kąpielą do rezerwuaru przeszłości.

Obecnie krajobraz po bitwie tamtych sporów wygląda dość żałośnie. Z nowofalowców forsowany jest jakby nieco na siłę Adam Zagajewski, podczas gdy inni jego koledzy po piórze pozostali gdzieś głęboko w tyle. W pierwszej połowie lat 70. wręcz niemożliwy był debiut bez usytuowania się tak czy siak wobec programu Nowej Fali, dziś tomiki Stanisława Barańczaka, Juliana Kornhausera czy Ryszarda Krynickiego nie są już „lekturą konieczną”. Inni, jak Krzysztof Karasek czy Stanisław Stabro, poszli własną drogą. Andrzej K. Waśkiewicz twierdzi – za obrazoburczym ongiś Janem Kurowickim – że program kontestacyjny Nowej Fali był programem „stanu wyjątkowego” i ustał, unieważnił się wraz z owym „stanem wyjątkowym”, a jego głosiciele powrócili do ról mieszczańskich indywidualistów. Apostazja z formuły „krzyku i buntu” do pogłębionej refleksji egzystencjalnej brzmi jednak mniej wiarygodnie niż wierne dojrzewanie w teźże refleksji pokolenia Hybrydowców.

Rozdarcie szkół poetyckich dekady lat 70. – zwłaszcza Nowej Fali i Nowej Prywatności – zostało „wzmocnione” rozproszeniem lirycznych poszukiwań. Po raz kolejny ujawniły się tendencje do kontynuowania poezji estetyzującej i kreującej światy zastępcze, poezji neoklasycznej, na różne sposoby tradycyjalnej itp. Z jednej strony kłęski „ideowe” poezji, z drugiej „choroba powtórek” bądź skłonności do hermetycznego lub jałowego lingwizmu spowodowały, że po 1970 roku sytuacja liryki pozostaje raczej trudna do określenia i powszechnego przyswojenia.

3

Życie? Ile razy
zaczynałeś od nowa
ubierając w wygodne słowa
rozbierając noc z bezsensu
tanga dwojga na linie
polityki i seksu

Rozmieniałeś sukcesy na drobne
na fragmenty większej całości
których w Coś
nie umiałeś zespolić
a nie miałeś odwagi Cezara
by je rzucić przed siebie
za siebie
jak kości

Lepsze lata się z gorszymi mijają
zostawiając na poboczu historii
wymyślonej egzystencji wraki
Może ktoś w jednym z nich
kształt znajomy zobaczy
znajdzie kartkę zgniecioną
z wierszem
świadkiem
bezsilnej rozpaczy

Nie wiesz nawet gdzie kiedy
w jakim tekście kontekście
twój życiorys się z niej odrodzi
Pójdzie cieniem za tobą
oby nie szedł przed tobą

I daj Boże, żeby kogoś obchodził

BARBARA TRAWIŃSKA

Nowy Rok

i znowu o rok
czas się nam postarzał
ale my
czujemy się jak nasze myśli

im większa ciekawość
tym pamięć młodsza
bo odkrywając
nie pozwala się nudzić
szarym komórkom
– kusi obiecuje podnieca

kto jeszcze szuka
– ten młodość znajduje

Myślę jednak, że jest to przedłużająca się sytuacja przelomu literackiego, kiedy odchodzi w Krainę Cieni stara formacja kulturowa, a w nazbyt pogmatwanej i złożonej rzeczywistości zmiana warty nie może dokonać się szybko i płynnie. Okazuje się jak gdyby, że wyartykułowanie nowych słów i postaw tym razem było trudniejsze niż dawniej. Mielśmy jednak do czynienia z ogromną eksplozją talentów i ambicji twórczych wyżu „demolirycznego”. Pomiędzy 1975 a 1980 rokiem debiutowało około 350 poetów, liczba około 80 nowych nazwisk rocznie stała się „rutynowa”.

Pomiędzy skrajnościami Nowej Fali i Nowej Prywatności szukali sobie miejsca liczni poeci „pozaprogramowi” lub ci od „trzeciego wyjścia”, ze starszych np. Ewa Lipska czy – powiedzmy – neoautentyści z grupy Nadskawie lub ich młodszy koledzy z grupy Tylicz. Były to jednak, niestety, formacje zakrzyczane przez dominatorów.

A jednak dziś można bez ryzyka wytypować autorów, którzy pozostaną na stałe w historii powojennej poezji polskiej, którzy dobili się oryginalności i indywidualności twórczej mimo swej „bezprogramowości”. Urszula Benka, Kazimierz Brakoniecki, Ewa Filipczuk, Stanisław Gola, Stefan Jurkowski, Andrzej Kaliszewski, Andrzej Lenartowski, Marek Obarski, Eda Ostrowska, Lucyna Skompska, Ewa Sonnenberg, Janusz Styczeń, Andrzej Warzecha, Tadeusz Wyrwa-Krzyżański, Adam Ziemianin i inni... – ze strachem myślę, czy dzisiejsi debiutanci w ogóle znają te nazwiska? Sytuacja wspomnianego przelomu literackiego sprawia, że outsiderzy lat 70. i 80. wciąż się nie „uklasyfikowali”, nie weszli w szeroki obieg społeczny, zostali zdeptani przez galopujące bizonki „ruchu młodopoezyckiego”.

Tak, historia powojennej poezji to także historia popularności jeżdżącej na pstrym koniu. W powodzi nazwisk wypływały czasami zbyt lekkie, a te mające większą wagę szły na dno. Myślę o tym ze smutkiem i z poczuciem bezradności. Co najwyżej otuchą napawa fakt, iż w stadnym, grupowo-programowym czy generacyjnym mechanizmie ewolucji i dominacji nurtów lirycznych znajdowali sobie jednak miejsce indywidualności: Andrzej Bursa, Halina Poświatowska, Rafał Wojaczek, Edward Stachura, Ryszard Milczewski-Bruno, Andrzej Babiński, Wincenty Różański... Wnosiło ich szalone kaskaderstwo, amok nieprzystosowania... Tu jednak też jakaś niewidzialna ręka rozdzielala sukcesy i sławę. Bo na jak długo zapamiętamy Andrzeja Partuma, Mieczysława Ratonia, Jana Rybowicza – poetów prawdziwych aż do bólu?

Gdybym miał dać formułę zjawiskom półwiecza pomiędzy latami 1939 a 1989, to powiedziałbym, że był to permanentny okres „poezji stanów wyjątkowych”. Kolejno: wybuch wojny, powstanie warszawskie, inplantacja nowego ustroju, mobilizacja socjalizmu realistycznego, przewrót październikowy, kryzys 1968 wzmocniony kryzysem 1971 roku, poetycki zaciąg broni po roku 1976 i w końcu poezja stanu wojennego, która obowiązywała jako swoisty etos, choć w różnej skali natężenia i rozproszenia aż do końca lat 80. Autorzy przymierzający płaszcz Konrada, ćwiczący retorykę trybunów, wierzący w narodowy profetyzm, w tony obywatelskie i misje literackie... – tak, to oni wyznaczali etapy i nurty poezji.

Wysoko w cenie – owszem – byli i poeci osobni, mówiący szeptem za samych siebie, piszący o śmierci i miłości, zachwycający się zakolami Popradu i udręczeni własnym nieprzystosowaniem, ale oni są jak pył Drogi Mlecznej. Świecą, lecz nie wytyczają traktu. Jeden poeta Jan Polkowski potrafił na pewien czas zakasować tytanów liryki tyl-

JERZY GAŚIOREK (GAŚIOR)

Minął dzień

Minął dzień
nieistotna data
wszak niczego wielkiego
nie dokonałem
nie odkryłem
lekarstwa na raka
nie pobitem rekordu
nie stworzyłem dzieła
co na kolana rzuca
nie wywołałem skandalu
ani wilka z lasu
uczciwie przepracowałem
swoje osiem godzin
całkiem spokojnie
wypilem trzy kawy
przejrzałem gazety
w nich nic nowego
korupcja wojny skandale
w radiu między piosenkami
informacja o kolejnej
aferze na górze
zjadłem ile trzeba
nie bacząc że inni są głodni
i jeszcze film książka marzenia
minął dzień
tak bardzo powszedni

* * *

Na moim biurku
pozorny bałagan
mapy foldery
mądrych książek tomy
pastele z Wenecji
lampa mi życzliwa
kompakty co na małym krążku
zmieściły orkiestrę
a czego za nic
nie potrafię pojąć
choć mam dwie matury
kalendarz co jak zawsze
za mało ma kartek
i dziennik w którym
szczerze piszę
o mojej radości
i o moim bólu

ko dlatego, że wszedł na barykadę stanu wojennego. Fenomenalna „Luiza” Bursy, perła powojennej literatury, jest mniej obecna w naszej poezji niż całe to jego wyrażanie pięścią. O jednym wierszu Lipskiej, słynnym „My”, napisano więcej niż o innych jej utworach. Tak, tylko wiersze spłodzone przez inżynierów dusz ludzkich z Piętą liryki obywatelskiej wchodziły do Dynastii Polskiej Poezji. Reszta fraucymerowała na tym dworze z lepszym lub gorszym powodzeniem. Może to zresztą prawidłowość: każdą historię tworzą raczej herosi niż cherlacy, poeci stawiający bagnet na broń, a nie rękę na sercu. Dlatego mamy dwie historie poezji: tę wiodącą od Broniewskiego poprzez Herberta do Barańczaka i tę wiodącą od Szyborskiej poprzez Poświatowską do Wojaczka. Nazwiska proszę sobie podkładać według własnego gustu.

Być może poezja stanu wojennego była ostatnim pogrobowym głosem romantyzmu. Towarzyszyla najdłuższemu polskiemu powstaniu – powstaniu „Solidarności”, opiewała walkę, konspirację, emigrację. Trafiała na cokoly pomników i do pieśni bardów. I szybko zamilkła, gdyż spełniała się bardziej w sferze propagandy niż sztuki, poza tym erozja solidarnościowego etosu postępowała szybciej niż się ktokolwiek spodziewał, więc coraz mniej poetów zachowywało w sobie zapal w tej służbie. Nie będę ich nawet wymieniał, choć może najbardziej na pamięć zasłużyli sobie poeci z gitarą, tacy jak Jacek Kaczmarski czy Przemysław Gintrowski, ale i oni często podpierali się tekstami klasyków.

Co się więc stało w tej ostatniej dekadzie?

Po pierwsze, zerwane zostały dwie ciągłości: pokoleniowa i – tak ją nazwijmy – peerelowska. Naturalną kolejną rzeczą odeszło wielu poetów, którzy jeszcze dla mojej generacji stanowili kanon i wyznaczali pułap sukcesu. Byli to m.in. Zbigniew Herbert, Artur Międzyrzecki, Wiktor Woroszyński, Jerzy Harasymowicz, Zbigniew Bieńkowski, Stanisław Swen-Czachorowski, Stanisław Czycz, Małgorzata Hillar, Marian Piechal, Aleksander Rymkiewicz, Włodzimierz Słobodnik, Tadeusz Śliwiak, Jerzy Zagórski... Wraz z potężną falą Styksu, która zabierała starych poetów w latach 80. – z dnia na dzień zostawiali oni puste miejsca na liście tzw. żywych klasyków.

Czy w to miejsce automatycznie weszli ich następcy generacyjnymi?

Leszek Żuliński

Ciąg dalszy w następnym, już powakacyjnym, 3 numerze „Pegaza”. Ten szkic miał kilka wcześniejszych mutacji. M. in. był posłowie w tomie III „Poezji polskiej. Antologii tysiąclecia” (Wydawnictwo IBIŚ, 2002). Wydaje mi się tekstem istotnym, „diagnostycznym”, dlatego po kolejnej „kosmetyce” postanowiłem go przypomnieć.

LUDWIK LIPNICKI

* * *

Znamy powody i usprawiedliwienia
Tłumaczmy i umywamy ręce
Nie przeraża nas Ziemi skalpowanie

Poproszę cię tylko o karabin
lecz zanim spojrzę weń od tamtej strony
skróć cierpienie
oszałałych bezdomnością ptaków

Rozsądek

Z mojego szpitalnego okna widać
prosektorium
cmentarz
i zakład kamieniarski

bardzo rozsądnie to rozwiązał
zdrowy człowiek

Curriculum vitae

Siódmy mu idzie krzyżyk.
Urodził się dwudziestego piątego sierpnia
tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku
w tej gorszej części pojałtańskiej Europy.

W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim
rozpoczął naukę...

litera
wyraz
jedno zdanie
drugie zdanie
kolejne
i kolejne
strona
rozdział
kartka
zdanie już raz przeczytane
wcześniejsze strony
bez numeru
(czy to ta właśnie lektura?)
bez prawa przerwania od razu
kilku kart do przodu
któryś tam rozdział
(już czytany czy jeszcze nie?)

pod palcami faktura okładki

Ma sześćdziesiąt trzy lata..
Miał.

KAROL GRACZYK**Dwóch Braci wpada na groblę
Groenandijk**

W chwili poczęcia mojego ojca angielski sztorm
dotarł do Europy, by zatopić Holandię.
Był mroźny poranek początków zimnej wojny,
ale że obraz w nielicznych telewizorach był czarno-biały

nie znaczy, że czasy też takie były. Zachodni wiatr
wpychał spiętrzone fale w niszczące wały.
Tam, gdzie ściany wałów dobiegają kresu, powstają drzwi,
a za kolejną przeszkodą woda nie będzie już sobą.

Burmistrz Neuwerkerk wpada na szalony pomysł
Zatamowania wyrwy w grobli statkiem rzecznym.
Kapitan statku Arie Eveggen nie ma wyboru,
Wpływa w szczelinę. Dwóch Braci staje się granicą

między morzem i lądem, ratując tych, którzy jeszcze żyli.
Mój ojciec przyszedł na świat zdrowy, kiedy Holendrzy
grzebali jeszcze zmarłych, ale powódź była ważniejsza
dla mnie niż dla niego. Napis na drzwiach nawołuje do wyjścia.

**Andrew Parker płynie promem
Herald of Free Enterprise**

Andrew Parker zabrał rodzinę na jednodniowe zakupy
do Francji. Tanie bilety poza sezonem kuszą. Na rufie
trwa dyskusja o trzęsieniu ziemi sprzed ledwie dwóch
lat. Meksykańskie niemowlęta dowiodły, że dorośli ludzie
znacznie gorzej znoszą zasypanie gruzem. Prawdopodobnie
dlatego, że wiedzą, co się z nimi dzieje. Andrew Parker

z żoną i dziećmi siedzą w kawiarni i piją wodę. Przy stoliku
obok trójka naukowców zastanawia się, co się dzieje z jeziorami
w odległym Kamerunie. Dlaczego erupcja limniczna zachodzi
właśnie w tamtych wodach i wsysając tlen zabija zwierzęta,
rośliny i ludzi w promieniu wielu mil, nie zostawiając śladów,
poza setkami trupów uduszonych na świeżym powietrzu.

Andrew Parker zapalając papierosa czuje nagły przechyl.
Wypada mu z rąk gazeta z nagłówkiem Vancouver, to jest to!
Ostatnie słowa w życiu Dawida Johnstona, świadka wybuchu
Świętej Heleny, który czekał latami, żeby to zobaczyć, a zginął
sekundy po wybuchu szczęścia. Ludzie na statku lecą w boczne
ściany, teraz sufit jest ścianą, a ściana podłogą. Duszą się, umierają,

tratuja, chwytają. Andrew Parker kładzie się na barierkach
między pokładami robiąc z siebie most i ratując ludzi. Cała rodzina
i kilka osób z sąsiednich stolików wychodzi bez szwanku na górny
podkład, na ląd. Niespodziewanie wracają do domów

MARIA BORCZ**Katyń 2010**

Katyń Golgotą i górą Przemienienia
krew przelana
urazy czyścić zdoła

nim świece pogasną
niech żal roztopi
skostniałe sumienia

odeszliście nagle
lecz wasze życie
tli się w podniebnych przestrzeniach

zrzućcie na Elizeusza*
płaszcz Eliasza
niech okrywa godne ramiona

*) płaszcz Eliasza – objęcie po kimś urzędu. Etym.– wg Biblii prorok Eliaz powołując Elizeusza na swoje miejsce zrzuci nań swój płaszcz

Przygoda w Kostrzynie

Wylały wody Warty i Odry
oraz Postonii przekornej rzeki
załaly krzewy pastwiska łąki
gdzieniegdzie sterczą tylko konary

wygodny ponton jak niebo modry
kąpiel słoneczna w stroju bikini
śpiewają szczygły czyżyki szpaki
i frunie żuraw ziemistoszary

z pokarmem w dziobie ląduje w gnieździe
pływam w obłokach mąż ryby łowi
jedną po drugiej cieszy się z brania
z wody wystaje korona klonu

przebija gumę powietrze schodzi
brniemy do brzegu toną ubrania
na własnej skórze niespodziewanie
przerobiliśmy temat powodzi

OLA GAJDEMSKA**Wszystkie flagi**

poniedziałek, 19 kwietnia 2010

wszystkie flagi
nie zniknęły
powiedział dzień,
tydzień świeży – pustka
po co?
przecież twarze
głosy znam z pudła na szafie

wszystkie flagi
nie zniknęły

LUCJA DUDZIŃSKA

Pierwsza miłość

Mówiła, że o tej porze kwitną sasanki –
niebieskie jak palce poplamione od pióra.
On mówił, że pachnie jaśminem,
i że,... że bardzo lubi jaśminowe noce.

Teraz nie całuje już w parku
wydrapanego serca na ławce.
Nie warto reanimować – zostało przebite
szpilką, jak motyl w potrzasku.
Dokłada je do pamiątek z pierwszej komunii
i nadal ogląda ślady atramentu na języku.

Szklany sufit

To, że jesteś zanurzony nie oznacza, że płyniesz.
Czas niczym woda – kropla po kropli zabiera
oddech. Nabierasz powietrza, kradniesz życie.
Zastanawiasz się czy jest nad wodą, czy pod.

Rozdziela szkło, a życie biegnie swoim trybem.
Zmiana stanu mokrego w suchy, przebiega
samoistnie (wszystko zaczęło się w wodzie). Czekaleś,
aż odejdą płodowe, ze świadomością, że staniesz się

bezdolny. Teraz leżysz na wznak, ściskasz pięści
gotowy do walki. Uśmiechasz się przez sen,
czyjeś ręce wygładzają prześcieradło, zanurzają się

w tobie. Skorupka wciąż nasiąka. Tropy donikąd,
kierunek wyznacza kompas na statku, nim stwardnieje lód.

Letnia impresja

Gliniasta gleba rodzi robaka, drży w konwulsjach
jakby nie chciało się mu żyć. Dokoła rozesłane pierze.
On zbiera mleczone dukaty. Rozgrzebaną patykami trawa
pokazuje mrówki – przetaczają ziemię. Ciągły ruch
w zygzak lub fastrygę. Budują swoje piramidy. Za sobą

ma czarny cień. (Kiedyś zgubił parasol, chociaż padało).
Liście koniczyny jak wiatraki wirują na wietrze, wabią
szczęście. Obserwuje podkasane podmuchem makowe
spódnice – kuszą, odsłaniają wypięty odwłok szerszenia.
(A on lubił anyżowy smak sztucznego miodu). W oddali
chabry barwią atramentem zboże. Wraca do domu sam.
Mistyczny fioleto kąkoli przypomina mu o plewach.

Idzie krętą ścieżką, pokrzywy chloszczą lydki – będzie
udawać, że są tu przypadkiem, a Bóg ich nie stworzył.

DOROTA OLEJNICZAK

Garść wspomnień

Dzisiaj piję na koszt nieba.
Rzucam błękitne monety
na uciechę Lucyferowi.
Archaiczna uczta.
Dzisiaj piję tańcząc z cieniami antyku.
Mówią mi Gaja, szepczą... matko.
Piję za zdrowie księżycy,
za światło gwiazd,
za żywych i martwych.
za samobójców,
za las ten, tam, tuż za rogiem,
za drogi zakurzone.
Jutro będę pić na koszt piekła płonącego rozpaczą.
Rozgrzeszę się w imię wiatru i deszczu,
w imię matki karmiącej szczenięta miłowaniem.
Piję radość życia zachlystując się kolejnym dniem
wzbijającym się do lotu.

Martwe źrenice

Nieruchome światło.
Świat w bezruchu.
Czas w miejscu.
Spojrzenie – niczyje
oddam lub wydzierżawię.

Do końca świata

Przedwojenny kościół... Światło świec...
Dorożka i konie...
Czas – świadek upadku mirażu – mariaży
wypełnionych łzami bólu i gorzkości.
Dopóki śmierć... w imię ojca i brata,
w imię syna ustawionego w kolejce u wrót nieba
w oczekiwaniu na swoją kolej...
Może drzewo zasadzone w pośpiechu zapłacze?
Może lzy utworzą drogę do konstelacji niebytu?
I choćbyś mądrość całą posiadał, a wielbłąd
przez ucho igielne – jesteś niczym!
A czas stoi na straży marzeń o harmonii
przestępując z nogi na nogę
patrzy na obrączki
los zakuty w szlachetnym kruszcu.
Bez plecaka na zmęczonych ramionach.
Niech zabrzmi TAK! Do końca świata
i jeden dzień dłużej,
do chwili zapomnianej w namaszczeniu,
do Drogi Mleczej... Będę Twój,
a teraz daj mi, kurwa, papierosa i pozmywaj gary!
Nie będziesz chyba tak beczynnym siedzią!

Z cyklu „Wielka wieś Ameryka”

Garage Sale

Publikujemy dziś pierwszy z reportaży Ludwika Lipnickiego, które napisał po dłuższym pobycie w Stanach Zjednoczonych. Reportaże te czytane były w Radiu Zachód. Może kiedyś ukażą się w książce.

Wobec wielu spraw pozostawałbym do dzisiaj w błogiej nieświadomości, gdyby nie Lucjan. Jako wrośnięty w amerykańską ziemię (szkoła chłopca – ale cóż na to poradzisz), zdążył poznać nie tylko jej geograficzne oblicze, ale jako bystry obserwator – także obyczaje, mentalność i słabostki jej mieszkańców. Często, wiedząc o moim zainteresowaniu „innościami”, sam wskazywał to czy inne zjawisko, które mógłbym przegapić. Dzięki niemu poznałem między innymi istotę garage sale.

W którąś sobotę moją uwagę zwróciła wystawiona przy jezdni tabliczka – nieduża, mniej więcej 30 na 40 cm. Na niej był z daleka widoczny napis „Garage Sale”. Zapewne ktoś chce sprzedać garaż – pomyślałem sobie w pierwszej chwili, nie wnikając głębiej w gramatyczną niepoprawność mojego tłumaczenia. Potem była jeszcze jedna taka sama informacja i kilka następnych. Garaże mają potanieć, czy co? – poważnie się głowiłem. Zaraz, zaraz, przecież – a widać to wyraźnie – garaż jest tu z reguły częścią domu. O co więc chodzi? Lucjan też na pewno to widzi i zachowuje się jak gdyby nigdy nic, a przecież niedawno wspominał, że musi rozejrzeć się za dodatkowym garażem. W końcu nie wytrzymałem i podzieliłem się z nim swoimi wątpliwościami.

Okazuje się, że garage sale to nie sprzedaż garażu ale... handel garażowy – jedna z ulubionych rozrywek Amerykanów, a w szczególności niepracujących pań w różnym wieku. Właściciele domu co jakiś czas robią przegląd towarów zgromadzonych w garażu. Dzieje się to wówczas, gdy masa i objętość nagromadzonych tam rupieci i przeróżnych bibelotów osiąga wartość krytyczną i niemalże wylewa się na trawnik. Handlowcy in spe wybierają więc to, co ich zdaniem jest zbędne. Poświęcają masę czasu, żeby poprzeglądać wszystko w miarę dokładnie, z potencjalnego „towaru” choćby z grubsza usunąć kurz, następnie dokonać wyceny, po czym wyłożyć wszystko na stoły lub ławy. Informacje z datą i adresem garage sale są umieszczane nie tylko bezpośrednio przed domem z tym tymczasowym punktem handlowym. Znajdują się one także na skrzyżowaniach ulic, a jeśli obiekt jest z dala od głównego traktu, np. gdzieś przy bocznej ulicy – to przy głównych drogach, w wielu miejscach zawsze pojawiają się tabliczki z dokładnym adresem, odległością i kierunkiem. Bardziej majątni lub zdesperowani zamieszczają stosowne anonse w lokalnej prasie.

Garażowy handel jest powszechny w małych miasteczkach od pierwszych dni wiosny do jesieni. Można z tym zjawiskiem spotkać się także na przedmieściach dużych miast. Bywa, że na wystawienie „towarów” w jednym miejscu umawia się kilka rodzin albo krewni mieszkający w różnych punktach miasta. Wtedy napisy mogą mieć treść: „Multi Garage Sale”, „Two Family Garage Sale” itp., oczywiście z odpowiednimi informacjami uzupełniającymi

Jeśli na najbliższe dni nie jest zapowiadany deszcz, całe to dobro (albo chociażby jego część) jest wystawiane przed garaż, bezpośrednio na trawnik. Wtedy zwie się to yard sale, chociaż obiegowo częściej stosuje się dla obu form nazwę garage sale... Odwiedziłem, oczywiście, tę swoistą formę handlu.

Co się wystawia na sprzedaż? Ano wszystko, łącznie z tym, co w Polsce dawno wyrzuciliby się do śmietnika – i to najlepiej w nocy, żeby nikt nie widział, że coś takiego miało się w domu. W Ameryce się nie wyrzuca. Amerykanie uważają, że są zbyt biedni i nie stać ich na takie marnotrawstwo. Za kilkanaście lub kilkadziesiąt centów albo za jednego lub kilka dolarów można sprzedać stary, poplamiony album do zdjęć, zdekompletowany serwis stołowy lub talerz (wyszczerbiony? – ale tylko trochę), łyżki, wazon, piętnastoletni monitor komputerowy, koło od roweru, przyrzedziewiałe młotki, śrubokręty i inne narzędzia, nóż myśliwski (nawet w dobrym stanie!), porcelanowe figurki-potworki (tych jest zatrzęsienie), podniszczzone książki (beletrystyka i dawno już nieaktualne przeróżne informatory, a czasami białe kruki), ponadto lampy, abażury, mniej lub bardziej znoszone buty, swetry, koszule (obowiązkowo z ogromnymi napisami lub obrazkami – zarówno z przodu jak i z tyłu), kurtki, stare narty lub wózek dziecięcy i wiele

jeszcze innego dobra. Są też meble: od krzeseł, poprzez stoły, do szafek i szaf – z reguły z wyraźnymi śladami wieloletniego i to niezbyt uważnego użytkowania. Kosztuje to – zależnie od gabarytów – kilkanaście do kilkudziesięciu dolarów... Jakiś czas temu Lucjan na garage sale wypatrzył cały karton polskich książek wydanych w latach dwudziestych i trzydziestych w Krakowie. Niektóre były w bardzo dobrym stanie, oprawione w skórę, inne podniszczone i pozółkłe. Sprzedawał je niemalże za bezcen wnuk polskich przedwojennych emigrantów – dla niego była to bezwartościowa, nikomu niepotrzebna makulatura...

Gdy po raz pierwszy odwiedziłem garage sale, nasunęło mi się skojarzenie z powszechnymi w Niemczech „wystawkami”. W Europie Zachodniej obowiązuje jednak inna niż w Ameryce zasada: w wyznaczony dzień mieszkańcy ulicy lub dzielnicy wystawiają przed dom to, co jest im zbędne. Oczywiście każdy z przechodniów może wyszukać coś dla siebie i zabrać, nie pytając właściciela. To co zostało na chodniku, będzie wywiezione na wysypisko śmieci przez specjalne samochody-śmieciarki. Zabrane z „wystawek” meble (niekiedy bardzo solidne), żyrandole, rowery, narty, a także porcelanowe kubki, laleczki itd. nasi obrotowi biznesmeni przywożą do Polski i następnie sprzedają na targowiskach lub przez internet.

W amerykańskiej wersji jest inaczej – raz, że trzeba zapłacić, i dwa, co nie sprzedaje się dzisiaj lub jutro – ponownie wystawi się za tydzień. Tam nie ma rozdawnictwa. Dla przykładu taka scenka: „Ja mam akurat stół, jakiego poszukujesz. Nie jest mi potrzebny i już go wyrzuciłam do garażu. Jeśli chcesz, to możesz go sobie wziąć za – powiedzmy – 50 dolarów”. W podobny sposób następuje wyprzedaż niemalże całej zawartości domu w przypadku wyprowadzki, np. do innego stanu. Zdarzają się wyjątki i ktoś komuś (np. bardzo bliskim znajomym) może dać coś za darmo, ale wtedy obdarowany będzie miał dyskomfort konieczności dokonania rewanżu.

Kto to kupuje? Kupujących podzieliłbym na dwie grupy. Pierwszą – nieliczną – tworzą ci, którzy akurat szukają czegoś (np. jakiegoś narzędzia), co jest im jednorazowo potrzebne, a tu mogą nabyć za śmiesznie niską cenę. Należą tu także tymczasowo urządzający się w nowo wynajętym mieszkaniu. Dla przykładu: witrynę biblioteczną wycenioną w sklepie na 300-400 dolarów, można nabyć za 40-50. Mebel ma, co prawda, ślady użytkowania, ale po wyszorowaniu będzie przydatny. Potem, gdy już zacznie się okres wyposażania mieszkania w meble „na stałe”, te garażowe nabytki będą wystawione na sprzedaż. Zjawiają się niekiedy kolekcjonerzy z nadzieją uzupełnienia zbiorów, a także właściciele sklepów z antykami.

O ruchu w interesie decydują jednak niepracujące zawodowo panie. Krążą swoimi pojemnymi samochodami od jednej do drugiej wyprzedaży. Tu kupią za kilkanaście centów blaszany kubek, gdzie indziej za jednego dolara – poduszeczkę, a w następnym miejscu porcelanowy dzwoneczek dla kota albo cały wór dobra wszelakiego, za co zapłaciły – powiedzmy – dziesięć dolarów. Garage sale są również miejscem spotkań towarzyskich. Prowadzący wyprzedaż chętnie uczęca krzeseł – nawet jeśli nie są one oferowane do kupienia. Gospodyni poczęstuje kawą lub herbatą. Następuje wymiana najnowszych plotek i ploteczek oraz informacji o innych garage sales w mieście i oferowanych tam towarach. Żeby zregenerować siły nadwątłone dotychczasowymi zakupami, można udać się do pobliskiej pizzerii lub McDonalda. A potem, zajeżdżając po drodze na stację benzynową – bo w samochodzie też paliwo się zużywa, dalej w drogę. I tak przez wiele godzin. W końcu zmęczone, ale zadowolone z wypełnienia misji, wracają do domu.

Zakupy, przeważnie w ogóle niewypakowywane z worków, ładują w jakimś kącie garażu (jeśli jest jeszcze w nim miejsce) i... można przeliczyć zawartość portfela z myślą „ileż to się dzisiaj zaoszczędziło na dokonanych interesach”. A jutro lub w następny weekend – kolejna runda objazdowa. I tak aż do czasu, gdy ilość zgromadzonych w garażu towarów zagradza wszelkie przejścia. Wtedy nasza bohaterka

zmienia skórę – z kupującej przeistacza się w sprzedawcę. Po remanencie, często dopiero po raz pierwszy opróżniony worek z zakupami sprzed kilku miesięcy, a także po dokonaniu przeglądu zakamarków i szaf w domu, obwieszcza swoje garage lub yard sale. I teraz ona jest w centrum zainteresowania, może przyjmować gości i „robić biznes”...

To, co nie sprzedaje się w ten weekend, będzie – chociaż przeważnie z niższą ceną – wystawione za tydzień lub jeszcze później. I tak aż do chwili, gdy w garażu robi się przestronniej. Wtedy można znowu kupować. Często towar sprzedawany jest ostatecznie zdecydowanie taniej, niż był kilka miesięcy temu zakupiony. W sumie nie chodzi tu o zarobek (choć taka jest idea), bo bilans jest zawsze ujemny. Liczy się świadomość uczestniczenia w tym, co w Ameryce jest wysoko cenione – w biznesie. A że się nic nie zyskało i poniosło straty? No to co? Następnym razem się odkuje.

Pamiątki

Lubię od czasu do czasu zajść do antykwariatu lub do innego sklepu z antykami. Można przecież tam pooglądać starocie, niekiedy znaleźć coś interesującego, a nawet kupić jakiś drobiazg, który akurat będzie dobrze komponował się na ścianie z tym, co już tam wisi. A bywa, że trafi się na coś naprawdę wartościowego. Ucieszyłem się zatem, widząc przy promenadzie w jednym z miasteczek u brzegu jeziora Michigan wielce obiecujący szyld „Antyki”. Od razu zbudziły się nadzieje na znalezienie czegoś autentycznie amerykańskiego – może z czasów pierwszych osadników, może coś indiańskiego...

W sklepach, które dotychczas odwiedzałem, nie znalazłem nic interesującego, a czas powrotu do Polski zbliżał się nieubłaganie. Owszem, pamiątki są do nabycia niemal wszędzie. Można kupić kubek z bizonem i napisem „Yellowstone”, gdzie indziej taki sam, ale już sygnowany nazwą „Badlands” lub „Montana”; w Buffalo jest to kubek z namalowaną Niagarą, a w Killarney w Kanadzie – z łosiem. Z kolei, w miejscach związanych z Indianami wszędzie można nabyć łapacze snów: wszystkie ładne, lśniące, blaszane i spod tej samej sztancy, są też bębni i inne rzeczy. Ich wspólną cechą, oprócz kiczowatego wyglądu, jest dyskretny, bo mniejszą czcionką wykonany napis na etykiecie: „Made in China”. I tak od stanu Nowy Jork przez Apallachy i krainę Wielkich Jezior po Góry Skaliste. Turyści to kupują, a cena jest adekwatna do atrakcyjności obiektu, w sąsiedztwie lub na terenie którego owe „pamiątki” są oferowane. Nie pokpiwam sobie w tym miejscu z kupujących je Amerykanów lub Japończyków. Przecież to samo zjawisko mamy i u nas – od Świnoujścia po Ustrzyki Górne. Z małym jednakże „ale” – nie patrząc na wartość artystyczną – to wśród naszych „pamiątek” można znaleźć więcej takich, które wyraźnie nawiązują do miejsca, gdzie są sprzedawane.

Wiedziony – jak wspominałem – nadzieją, że może tym razem coś znajdę – w końcu nie bez powodu umieszczony jest szyld „Antyki”! – rozglądałem się po niezbyt przestronnym pomieszczeniu. Było to coś zbliżonego do jakiegoś wystawniczego mini-salonu, może mini-muzeum. O tym, że zgromadzone i wystawione tu na sprzedaż eksponaty były uznane za wartościowe, świadczyły wywieszki ze stosunkowo wysokimi cenami. Sądząc, że nie o rzeczywistą wartość tu chodziło, ale o klienta-wczasowicza.

Dla Amerykanów antyczne jest to, co już nie jest produkowane i czego nie można kupić w sklepach. Jakiś przedmiot, który u nas wala się po strychach, nie mówiąc już o domostwach dziadków, i dawno zastąpiony został przez coś nowocześniejszego – w Ameryce zasługiwałby na miano antyku. A gdy ma on co najmniej 40-50 lat – to już bywa traktowany jako super-antyk.

Cóż więc zobaczyłem w owym niewielkim przybytku z budzącym tyle nadziei szyldem? Były tam przede wszystkim rupiecie w rodzaju tych, które są przedmiotem transakcji w garage sale. Tyle tylko, że odkurzone, może trochę wypolerowane i bardziej starannie dobrane, a przede wszystkim zdecydowanie droższe. Nie jest wykluczone, że obrotowy kupiec właśnie na małomiasteczkowych wyprzedazach dokonywał zakupów, potem towar ten wystawił, licząc, że zblazowany przybysz z Nowego Jorku czy innego dużego miasta kupi ów „antyk”.

Interesująca była galeria na ścianie, a szczególnie dwa klujące kolorami obrazy w solidnych pozłacanych ramach – każdy o innej tema-

tyce, ale w stylu tak bardzo nam bliskiej, swojskiej Ledy z łabędziem i takiegoż jelenia na rykowisku. Obok nich... – i tu moje pierwsze zaskoczenia – autentyczne monidło. Być może w latach pięćdziesiątych lub sześćdziesiątych zostało ono przywiezione z Polski, bo bardzo przypominało „dzieła” tego rodzaju, jakie powstawały u nas w tamtym okresie. Obok wisiała głowa łosia z wybałuszonymi oczyma, wyrzeźbiona w kawałku pnia. W pierwszej chwili pomyślałem, że zwierzę ma zeza, ale po dokładniejszych oględzinach stwierdziłem, że jednak nie ma wady wzroku. Sądząc po stanie drewna i świeżości farby, była to produkcja sprzed kilku lat. W kącie stała autentyczna, metrowej szerokości kotwica.

Prawdziwie zaskoczyła mnie stara, lekko wypaczona, dość gruba deska, ponad dwumetrowej długości i półmetrowej szerokości. Niedługo brązowa farba zdążyła się już mocno złuszczyć, a te jej fragmenty, które się jakoś zachowały, były na przemian ściemniałe lub wyblakłe. Literami o kroju „country” wyłobiony był napis „Saloon”, z zachowaną w kilku miejscach, kiedyś chyba złotawą albo żółtą, farbą. Deska nie miała kartki z ceną, a jej upchnięcie w kącie świadczyło, że tu dobiega żywota i niebawem pójdzie na opał albo na śmietnik. To był ponad wszelką wątpliwość autentyczny – jedyny prawdziwy antyk, który świetnością swą przeżywał w czasach, gdy środki lokomocji posiadały wyłącznie napęd owsiany lub sianowy. Niestety, ze względu na gabaryty deski, nie kupiłem jej. A szkoda, bo byłaby autentyczną pamiątką, nawiązującą do młodzieńczej fascynacji Dzikim Zachodem.

Samochody

Są takie regiony w Polsce, gdzie trudno znaleźć rodzinę nieposiadającą w domowym archiwum zdjęć krewnych z Ameryki. Ciotka, wujek albo brat z dziećmi stoją dumnie przed swoim amerykańskim domem. Obok nich – prawie jak członek rodziny – samochód. Wypisz – wymaluj, obrazki jakby żywcem wzięte z filmowej historii o Kargulach i Pawlakach, a bo też i pomysł na amerykański watek w „Samych swoich” nie wziął się z powietrza. To nic, że w filmie to akurat Pawlak prezentował swoje bogactwo („Niech ci Amerykańce wiedzą – a co?”).

Dla nas samochód przez lata był świadectwem zamożności. Pamiętamy przecież te talony i przedpłaty dostępne tylko bardzo oszczędnym, a przy tym nienajgorzej zarabiającym. Inna sprawa, że w tamtych czasach oszczędzać musieli prawie wszyscy, głównie po to, żeby jakoś dociągnąć do następnej wypłaty.

Polacy osiedleni w małomiasteczkowej Ameryce lub Kanadzie mają z reguły stałą pracę, często są właścicielami firm. Posiadanie kilku samochodów jest zjawiskiem normalnym. Ale mało kto decyduje się na jeżdżenie kilkudziesięcioletnim cadillakiem, bo pojazd ten żłapie ogromne ilości benzyny – to po pierwsze, a po drugie – taki krążownik jeśli w ogóle zmieści się w garażu, to już na pewno nie będzie tam miejsca na nic innego, nie mówiąc o drugim samochodzie.

Mieszkający w New Jersey Wituś, syn tużpowojennych emigrantów – szukał, szukał, aż wreszcie na cmentarzysku starych samochodów znalazł i kupił za kilkanaście dolarów ponad trzydziestoletni model cadillaka, to znaczy to, co z tego pojazdu jeszcze zostało. Gabaryty wehikułu (to znaczy długość i szerokość) były zbliżone do średniej wielkości wagonu towarowego. Dostarczono owo „cudo” przed witusiowy dom, a szczęśliwy właściciel wyklepał pogięte blachy, wypełnił czym się dało dziury w karoserii i pomalował na jadowicie niebieski kolor. Potem zamontował reflektory i fotele. Tak skleconą całość ustawił na trawniku przed swoim domem. Nigdy i nigdzie tym krążownikiem nie jeździł, ani razu, zresztą, nie uruchomił silnika-nieboszczyka. To jednak nie przeszkodziło dumnemu właścicielowi w wykonaniu wielu zdjęć po to tylko, żeby wzbudzić podziw i uznanie w oczach rodziny w Polsce. Na jednych fotkach siedzi z dumną miną za kierownicą, na innych stoi niedbale oparty o burto, to znaczy karoserię tegoż krążownika, na jeszcze innych – w innych pozycjach. „Wituś, a po co ci ten gruchot zajmujący połowę trawnika?” – denerwowali się domownicy. „A co? Niech widzą i wiedzą, że mam, że mnie stać. O!”. Nasz bohater ma także dwa inne samochody, ale cadillak, co jakiś czas odnawiany, ciągle jeszcze stoi na trawniku.

(c.d. w następnym numerze)

Zaledwie ślad

Władysław Łazuka (ur. 1946 r. w Tyrawie Solnej), mieszkający w Choszczynie poeta i prozaik, debiutował w 1969 r. na antenie PR Szczecin opowiadaniem „Dzień Starego”. Pierwszy zbiór wierszy pt. „Przejdę sad” wydał w 1976 r. Od tego czasu ukazało się kilkanaście tomików poetyckich, w tym „Czytanie z natury” (1983), „Idę” (1990), „W zwierciadle rzeki” (2002), „Jeszcze wiersz” (2005), „Gdzie szybki Drawy bieg” (2008), „Noc – podróż i inne wiersze” (2009).

W tym roku ukazał się zbiór nowy, o znamienym tytule „Zaledwie ślad”. Tomik zawiera prawie osiemdziesiąt utworów, czasem bardzo krótkich i przypominających budową haiku. To poezja wyrosła pośród pól, stawów, rzek, lasów i łąk – silnie związana z przyrodą. W wierszach W. Łazuki pluskają strągi, wkrzewach jaśminu grają świerszcze, przy domu znajdziemy maciejki, bzy i malwy, a zapuszczających się w las przywitają dzięcioły, puszczyki i kowaliki.

W strofach poety płoną ogniska, wiatr płoszy chmury, a na piecach śpią koty. Jak mało kto udanie opisuje śnieg prószący w lesie – to *sypie/ srebrny/ pył/ strącony skrzydłem/ słonecznego ptaka*.

Wszystko razem przypomina świat magiczny, niemal baśniowy, a bez wątplenia antyindustrialny, ostentacyjnie lekceważący cywilizację z jej wątpliwymi „dobrami”.

To twórczość wyciszona, skierowana ku refleksji. Tworzy w odbiorcy specyficzny, przyjazny dla duszy klimat. Należy mu służy temu język poety: powściągliwy, stroniący od ogólników czy wersów „mądrościowych”, a jednocześnie prosty – prostotą, do której po długich latach poetyckiego terminowania się dochodzi.

Gdy się porówna wcześniejsze zbiory wierszy z obecnym, nie sposób nie dostrzec konsekwencji w budowaniu strof, ich doskonalenia. Z rzadka też opuszczające rewiry natury. W tych klimatach Władysław Łazuka czuje się najlepiej, tu się spełnia – przede wszystkim w wymiarze egzystencjalnym. I filozoficznym. Tak. Bowiem poeta ten świadom jest przemijania, nawet dyskretnie tu i ówdzie mówi o tym. Jak w jednym z wierszy bez tytułu u końca tomu:

*Mniej słów
przyjacielu
mniej...
Posłuchajmy ciszy
między nim i w nas
Już wieczór zapala
latarnie
a drzewa zrzucają
rdzawe liście
Pustoszeją ulice
Kurz i pył
Zaledwie ślad*



Stanowczo nie jest to poezja modna czy na siłę zabiągająca o czytelnika. Autor „Wołania źródeł” (1983) idzie własną ścieżką, nie licząc na medialny poklask. Jest autentyczny. I niechaj takim zostanie.

Raz jeszcze przyjrzyjmy się strofom W. Łazuki. Przedstawiony wyżej zbiór otwiera wiersz „Wiosna”:
*Promienie wnikają / w kamienie / usypane / na
obrzeżu pola // tam wygrzewa się / motyl, żuk / i
jaszczurka // Podbiały otworzyły pąki / – są jak
maleńkie słońca // Pochylony smakują / listki
szczawiu // z sokami / podziemnych źródeł*

Wanda Skalska

Kurier Szczeciński Nr 105 (17 870) 1 VI 2010

**Władysław Łazuka „Zaledwie ślad”,
Wydawnictwo Książkowe IBiS, Warszawa 2010**

Kiedy idziesz

Piasek
kamyki
muszelki
wodorosty
błękit i biel
nieba i fal
zapach
i smak powietrza
Kiedy idziesz brzegiem
przenika Ciebie
i
ogarnia
Morze

Pytałem

Pytałem jeziora
- zanurzało się
w czerń nocy
w sen
Wśród kropel
deszczu gwiazd

Wracałem w milczeniu
bez słowa odpowiedzi

Ziarenka piasku

Ziarenka piasku
prowadzą mnie i niosą
po wydmach
które układa i przenosi
wiatr

Nie zostawiając śladu

Jesteś

Jesteś światłem poranka
dnia i kartki
na której zapisuję
słowa
blaskiem gwiazd i
księżycy
gdy noc kładzie się
cieniem
na ziemi
Płatkami śniegu
z których każdy jest inny
jako i my
Jesteś drogą
i ścieżką
bym mógł iść
i szukać

ciszy
w zgiełku świata

* * *

1.
W południe lata
usiadłem przy polnej drodze
oparłem się o głaz
ciepły był jak człowiek

2.
Sędziwy
w mchach północy
tak wiele już widział
umiał słuchać
milczeć

NOWY TON GAŚIORA

Jerzy Gąsiorek wydał szósty zbiór wierszy. Tytuł – „Czas rzeźbię”. Jak zwykle podpisał tę książkę skrótem nazwiska – „Gąsior”. Jak poprzednie i ta jest niezwykle oszczędna graficznie: żadnych ilustracji, żadnych zabaw czcionką. Szara, prosta okładka i tylko wiersze. Na około stu stronach zapis obserwacji, nawet relacji z codzienności, a przy tym refleksji, jakie ta codzienność niesie. Język prosty, żadnego silenia się na figury poetyckie, tyle że zapis w formie wersów. W tym tomie więcej niż w poprzednich bardzo krótkich wierszy. Są nawet dwuwiersowe, które można uznać za aforyzmy. Duża różnorodność tematyczna, bo przecież życie jest różnorodne. Ale jest tu nowy ton: to śmierć. Co prawda do siedemdziesiątki jeszcze trochę autorowi brakuje, ale już pisze o sobie „*Oto ja – siedemdziesięcioletek*”. Zaraz chciałoby się powiedzieć: i cóż że siedemdziesięcioletek, ale widać ten wiek rodzi jego nowe przemyślenia. Jak w dwuwierszu, a w zasadzie sentencji: *Kwiaty umierają jesienią/ Człowiek o każdej porze*. Motyw śmierci Gąsiorek wykorzystuje w wielu wariantach, wcale nie siląc się na nowe pomysły. Bo przecież nie pierwszy szuka odpowiedzi na pytanie: co po mnie zostanie? *Przecież nie będzie / mnie kiedyś / Zostaną słowa zapisane w wierszu / Trochę rzeźb, obrazów/ Wciąż starsze, ale czy cenniejsze?/ Czy i kogo wzruszą? / Może jedynie pająka, co utka z kurzu sieć zapomnienia*

W innym wierszu snuje przypuszczenia: *Kiedy umrę / niewielu zapłacze/ Powiedzą był stary / to już jego pora / Na pogrzeb przyjadą krewni / sąsiedzi się zbiorą...* Tę wyliczankę prawdopodobnych zdarzeń kończy refleksją: *ksiądz zapewne pochwali / o zmarłych wszak nie wypada źle mówić / Ale co powie Pan Bóg?* I jeszcze jeden wiersz także inspirowany śmiercią, a przecież traktujący o żywych: *Gdybym, o Panie, wiedział, że tylko tydzień / zostanę wśród żywych / jak bym się zachował?/ co uczynił najpierw? / co pilnie naprawił? / kogo przeprosił? / kogo ostrzegł?/ może jeszcze zganil? / Czy miałbym odwagę uczynić cokolwiek?* Kolejne ważne pytanie związane ze śmiercią to pierwszy wers innego wiersza: *A jak tam jest w niebie?* I odpowiedź zaskakująca: *Czy z okna pokoju będę widział/ ląki i rzeki jak tu w Santoku?/ Czy pachnieć będzie bzami w maju?/ Czy będę słyszał ptaki w parowie?/ Czy w rzecze odbijać się będą drzewa, księżyc i Ona/ Jeśli tam tego nie będzie/ to nie chcę do nieba*. Już dawno Urszulka Kochanowska w wierszu Leśmiana twierdziła, że w niebie musi być tak samo jak w domu, ale żeby dorosły mężczyzna niebo przyrównywał do zwykłego Santoka? A może ten Santok naprawdę taki niezwykły? Gąsiorek ze swojej wieży patrzy na tę wieś położoną wśród wzgórz u zbiegu Warty i Noteci i ciągle opiewa jej urodę. Chętnie tam także zaprasza gości. Byłam kilka razy. Naprawdę w niebie nie może być piękniej. Nie jest to jedyny wiersz z przywołaniem Santoka w tym tomie, więc wcale nie dziwię się, że na jego wydanie sypnęła groszem Fundacja Ochrony Przyrody i Dóbr Historycznych Ziemi Santockiej.

Na zakończenie wiersz o tytule „My” z prezentacją nas wszystkich – współczesnych. Naukowcy mają wiele kłopotów z wystawieniem takiej ogólnej oceny, poetom – znacznie łatwiej: *To my z nowego tysiąclecia / latający do gwiazd i klonujący człowieka / zapisani na twardym dysku żywota / z nipem, peselem, CV// Nadal bezradni wobec irracjonalnej miłości / zabójczego raka / głupoty człowieka*. Polecam tom „Czas rzeźbię” Jerzego Gąsiora, a także wszystkie wcześniejsze. Dają impulsy myślowym. Tyle że ten ostatni coraz smutniejszym, niestety.

Krystyna Kamińska

* * *

Każdy dzień
kolejna premiera
staję na scenie
ukrywając treść
improvizuję
nie mogę liczyć na suflera
zlikwidowano etat
za kulisami nowe
dekoracje
na jutro... pojutrze... po
roku
jaka i gdzie będzie
ostatnia ma rola

Spadek

więc to wszystko
kiedyś zostawię
ulubione obrazy i wiersze
prace wystrugane
książki z których zaledwie
trochę mądrości uszczknąłem
rower co mnie prznosił
w niezwykle pejzaże
bliskich mi sercu i przyjaciół
wschody i zachody słońca
spacery polnymi drogami
drzewa ziola ptaki
i chmury na niebie
którymi rzeźbiłem tęsknoty
i jeszcze... wyliczać by sporo
co się z nimi i ze mną stanie
ilu mnie wspomni po latach
ale po co zaprzętał sobie
tym głowę

* * *

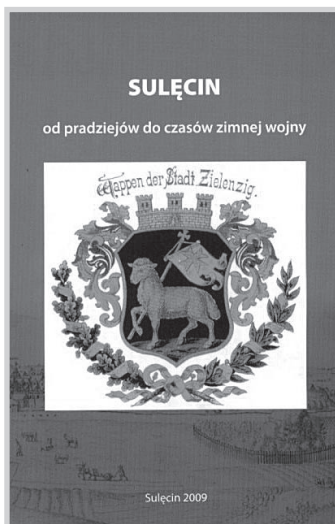
Dni zapisuję
zostawiam ślady
teraz już w pośpiechu
naiwnie wierząc
że tomiki utkane z wierszy
a rzeźby w drewno zaklęte
kogoś poruszą
lub choćby wzruszą
świat ma ważniejsze
sprawy na głowie

Od archeologii do atomu

Książka „Sulęcín – od pradziejów do czasów zimnej wojny” jest plonem konferencji naukowej, która odbyła się w roku ubiegłym. Do udziału zaproszono historyków zajmujących się różnymi okresami przeszłości i różną tematyką. Opublikowane wystąpienia łączy więc jedynie hasło „Sulęcín” albo jeszcze szerzej – „Sulęcín i okolice”, a przecież składają się one na interesującą książkę.

Sulęcín należy do najstarszych miast regionu, aż do 1810 roku był własnością zakonu joannitów, ale zachowało się tu niewiele zabytków, a miasto pełniło funkcję ośrodka o znaczeniu tylko lokalnym. Jednak historycy potrafili znaleźć w jego przeszłości elementy ważne dla całego regionu, a nawet kraju.

Już pierwszy referat Przemysława Kołosowskiego, archeologa, wprowadza w istotną tematykę poszukiwania miejsc ważnych dla przeszłości, choć ślady jej dawno zostały zatarte. W XIII wieku miał miejsce gwałtowny skok cywilizacyjny w północnym regionie obecnego województwa lubuskiego. Skok zapoczątkowany przez polskich władców z dynastii Piastów, a kontynuowany przez władców z dynastii askańskiej z Brandenburgii. Zakładano wtedy miasta, a przemiany gospodarcze nieśli członkowie zakonów rycerskich, przede wszystkim templariusze. Z dokumentów wiadomo, że jedno z pierwszych miejsc ich osiedlenia znajdowało się w okolicach Sulęcína, ale gdzie, trudno dziś jednoznacznie określić. Przemysław Kołosowski relacjonuje badania archeologiczne przeprowadzone między wsiami Templewo i Wielowieś, bo prawdopodobnie templariusze mieli swoją pierwszą siedzibę. A ustalenia są zaskakujące, jako że związane z siedzibami... Słowian.



Dwa referaty dotyczące kościoła świętego Mikołaja przygotowali historycy z Kostrzyna. Sławomir Górka pisze o śladach krzesania ognia na murach świątyni, obyczaju jeszcze z czasów pogańskich, ale dopuszczonego przez kościół katolicki. Natomiast Dominika Piotrowska opowiada o wspaniałym gotyckim ołtarzu, który stał w tym kościele do 1945 roku. Pod koniec wojny spłonął wraz z wyposażeniem całego kościoła. Dobrze, że został przypomniany chociaż w opisie i na zdjęciach. Następnie Błażej Skaziński analizuje panoramę Sulęcína na rysunku Daniela Petzolda z około 1710 roku. Zaś Wolfgang Brylla przypomina wolnomularską lożę Pod Gwiazdą Świętego Jana, która skupiała znamiennych mieszkańców miasta i okolic.

Najbardziej zaskakujący jest artykuł Roberta Jurga o Wołkodawie, czyli tajnej radzieckiej bazie magazynowania broni jądrowej koło Trzemeszna Lubuskiego. Jurga przedstawił strategię Układu Warszawskiego i przygotowania do trzeciej wojny światowej, wojny atomowej. W tym celu na terenach zajmowanych przez armię radziecką budowano bazy dla głowic atomowych. Jedną z takich baz znajdowała się w pobliżu Sulęcína. Wycofując się z Polski w latach 90. armia radziecka zabrała całe uzbrojenie, a nawet znacznie zniszczono magazyny. Ale Robert Jurga, architekt i znawca militariów, umie czytać to, co z pozoru wygląda na zatarte. W opisie i na szczegółowych rysunkach przekazuje wiedzę dotąd tajną. Historię, która działa się tuż obok nas i w latach naszego spokojnego życia.

„Sulęcín od pradziejów do czasów zimnej wojny”,
red. Błażej Skaziński, Sulęcín, Urząd Miejski 2009.

W sąsiedztwie Bledzewa

Sezon turystyczny zbliża się wielkimi krokami, dlatego ukazuje się coraz więcej przewodników turystycznych. Niedawno dotarła do mnie – jak napisano na stronie stopkowej „publikacja wydana na zlecenie Urzędu Gminy w Bledzewie”. Jest to polsko-niemiecki przewodnik turystyczny pod tytułem „Fortyfikacje MRU w okolicy Bledzewa”. Autorem jest znawca fortyfikacji Jerzy Sadowski. Książkę wydało specjalistyczne wydawnictwo Infort z Zabrze. Przewodnik ma wygodny, kieszonkowy format, 80 stron z kolorowymi ilustracjami i mnóstwo ciekawych informacji.

Myśląc o Międzyrzeckim Rejonie Umocnionym zazwyczaj jego najciekawsze obiekty sytuujemy bardziej na południe, bo tamte, obok Kaławy czy Boryszyna, udostępnione są do zwiedzania. Tymczasem północny odcinek, właśnie w okolicach Bledzewa, też jest niezwykle atrakcyjny. A może jeszcze bardziej, bo pozostawiony w stanie takim, w jakim był w końcu wojny. Nie trzeba więc płacić za wstęp, natomiast należy wykazać się pewnym poświęceniem, by dotrzeć do wielu obiektów. Na szczęście autor książki daje precyzyjne informacje, jaką drogę wybrać i gdzie skręcić, aby odszukać każdy z 10. zespołów obronnych oraz 22. pancerników.

Są tu bardzo ciekawe obiekty. Grupę warowną Ludendorff budowano jako pierwszą, jednocześnie testując nowatorskie rozwiązania techniczne. Na kształt całego Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego decydujący wpływ miały poszukiwania techniczne, przede wszystkim inżynierskie. Teraz dla wszystkich zajmujących się rozwojem myśli technicznej jest to obszar niezwykle atrakcyjny. Bardzo ciekawy jest ciągle sprawny most zwodzony w sąsiedztwie Sta-

rego Dworku. Nawet dziecko naciśnięciem guzika może wprawić go w ruch. I już po chwili powierzchnia mostu stanie nie wzdłuż, a w poprzek drogi. Przez wiele lat maszynownia zalana była wodą, więc nie działała. Niedawno grupa entuzjastów fortyfikacji ze Skwierzyny osuszyła maszyny, odczyściła, pomalowała i w ubiegłym roku most ten uruchomiono. Teraz działa, ale tylko dla zainteresowanych turystów, bo odremontowaną maszynownię po prostu zamknięto. I słusznie, ale z drugiej strony dobrze by było, aby nawet przygodni turyści mogli taką atrakcję zobaczyć. W samym Bledzewie jest inny ciekawy most. Jedną jego część można łatwo schować pod drugą i w ten sposób utrudnić przeprawę przez Obrę.

Wszystkie obiekty, o których powyżej, zbudowali Niemcy przed lub w okresie II wojny światowej. Jerzy Sadowski włączył do swojego przewodnika jeszcze jeden, znacznie młodszy. To magazyn głowic jądrowych w sąsiedztwie przysiółka Templewko. Pochodzi z końca lat 60. Długo o nim nic nie wiedzieliśmy, bo znajdował się na terenie poligonu i pozostawał w dyspozycji radzieckiej Armii Czerwonej. Dopiero w 1990 roku amunicję jądrową wywieziono do Rosji, a magazyny zlikwidowano. Do ich likwidacji znacząco dołożyli się polscy złomiarze, ale i tak szkielet wielkiego magazynu, w którym mogło być nawet 200 głowic, robi wielkie wrażenie.

Zainteresowanych zapraszam w okolice Bledzewa z przewodnikiem Jerzego Sadowskiego w ręce. Jego lekturę proszę zacząć od rozdziału „Zasady zwiedzania budowli obronnych”.

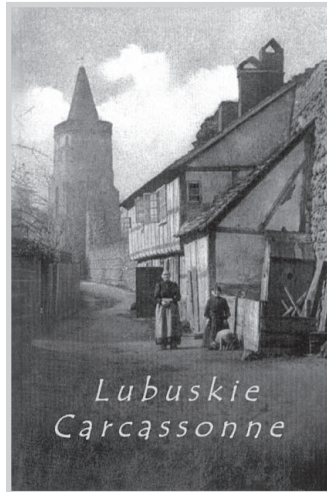
Jerzy Sadowski, *Fortyfikacje MRU w okolicy Bledzewa, odcinek północny MRU od GW „Ludendorff” do GW „Schill”*,
Wyd. Infort, Gliwice 2009.



Mury, wieże i czarownice

Książka nosi tytuł „Lubuskie Carcassonne”. Wiele miast w naszym regionie ma średniowieczną metrykę, więc o które chodzi. Dopiero podtytuł wyjaśnia: „Średniowieczne fortyfikacje Strzelec Krajeńskich”.

Francuskie miasto Carcassonne znane jest z najlepiej zachowanego ufortyfikowania. Tłumy turystów przyjeżdżają tam co roku, by zobaczyć podwójny pierścień murów obronnych, bramy, barbakany i aż 52 wieże. Pierwsze umocnienia wzniesli Rzymianie, ale największa część fortyfikacji pochodzi z XII w. Obecny wygląd jest dziełem XIX-wiecznego architekta, który nieco uatrakcyjnił dzieło średniowiecza. Teraz każda miejscowość, w której przetrwał choć skrawek średniowiecznych murów obronnych, chce być nazywana Carcassonne swojego kraju, a przynajmniej regionu. Polskim Carcassonne nazywane bywają: Paczków, Szydłów, Biecz, Chelmino. Do tej listy wypada dodać Strzelce Krajeńskie.



Tamtejszy Urząd Miasta już od dłuższego czasu prowadzi intensywną kampanię podkreślając właśnie historyczne walory miasta i regionu. Służą temu kolejne wydawnictwa, w tym ostatnia książka poświęcona wyłącznie fortyfikacjom. Trzy czwarte jej objętości wypełniają stare i nowe zdjęcia murów, baszt, bram, w tym kilka rysunków. Obszerny wstęp napisał Błażej Skaziński, najlepszy znawca zabytków regionu. Szkoda, że jego nazwisko nie figuruje na stronie tytułowej, wszak – jak podano – jest również twórcą koncepcji całego wydawnictwa. Znalazłam je dopiero na stronie stopkowej, wśród innych współtwórców książki. A przecież średniowieczne mury, choć atrakcyjne w oglądaniu, już przestały nam same mówić. Ich budowa, znaczenie, zmiany wymagają objaśnienia takiego, jakim książkę wzbogacił Błażej Skaziński. Obecne miasto Strzelce Krajeńskie (dawny Friedeberg) było ważnym ośrodkiem na trasie ekspansji dynastii askańskiej z zachodu na wschód, dlatego zabezpieczenie go trwałymi murami uznano za niezbędne. W XIII wieku zbudowano mury mające 1700 metrów długości, dwie bramy i 37 baszt. U podstawy mur miał 160 centymetrów, a wysoki był na 8-10 metrów. Proszę sobie wyobrazić, ile pieniędzy i wysiłku kosztowało wzniesienie takiego muru. Ale było warto, bo przez wiele lat dawał on to co najcenniejsze: bezpieczeństwo. Po dwóch stronach głównej drogi prowadzącej przez miasto zbudowano bramy: od Gorzowa – Gorzowską, a z drugiej strony – Młyńską. Obie były wysokie, reprezentacyjne, podnosiły prestiż miasta. Gorzowską rozebrano w połowie XIX wieku i obecnie nie ma po niej śladu. Za to Młyńska nabrała urody po przebudowie na początku XX wieku. Najpierw było tam muzeum miejskie, teraz zajmuje ją szkoła muzyczna.

Jest jeszcze w Strzelcach Baszta Więzienna, zwana także Basztą Czarownic. Podobno wokół niej straszą duchy czarownic, których prochy w nią wmurowano. To by była atrakcja turystyczna, gdyby naprawdę chciały się pokazywać. Wszystkie zdjęcia są w tej książce czarno-białe. To mi nie przeszkadza, bo większość pochodzi z czasów, kiedy nie było kolorowych fotografii, a nawet na współczesnych kolor murów nie jest najważniejszy. Ubolewam natomiast, że książkę wydrukowano na tak zwanym papierze ekologicznym, nieco przyżółconym, co może ładnie, ale który rozmywa kontrasty na zdjęciach. Przy założeniu, że zdjęcia są w książce najważniejsze, gubi się jej cel.

Lubuskie Carcassonne: średniowieczne fortyfikacje Strzelec Krajeńskich, tekst i koncepcja wydawnictwa Błażej Skaziński, wydawca: LM DESIGN Leszek Włodkowski-Moszej, Strzelce Krajeńskie – Dębno 2009.

Polska widziana przez Pszczew

W maju 2010 r. ogłoszono nazwisko pierwszego laureata nagrody imienia Ryszarda Kapuścińskiego za najlepszą książkę z reportażami literackimi. Nagrodę w wysokości 50 tysięcy złotych ufundowało miasto stołeczne Warszawa, a na czele jury stała ceniona reporterka Małgorzata Szejnert. Do nagrody tej nominowano pięć książek wydanych w ubiegłym roku: dwie polskich autorów i trzy zagranicznych. Zagraniczni, oczywiście, pisali o zagranicy. Polak – Wojciech Jagielski w tomie „Nocni wędrowcy” opowiada o wrażeniach z dalekiej Ugandy. Tylko jedna książka traktuje o polskich sprawach. To zbiór reportaży Włodzimierza Nowaka pod tytułem „Serce narodu koło przystanku”, który wcześniej znalazł się w finale nagrody literackiej „Nike”.

Ogromnie polecam „Serce narodu...” nie tylko ze względu na walory artystyczne, ale także z powodu odniesień do naszych, regionalnie gorzowskich spraw. Włodzimierz Nowak w latach 80. mieszkał w Pszczewie i tu poznał świat. Swoje reportaże zakończył opisem przemian, w jakich uczestniczył właśnie w Pszczewie, gdy zmieniła się Polska. Nadał mu sarkastyczny tytuł „Solidarność ucieka rowerem”. Zadaje w nim sam sobie pytanie: czy działacze Solidarności, którzy prowadzili ówczesną rewolucję, nie powinni dłużej pozostać z prostymi ludźmi, by pomóc im we wpisaniu się w nową rzeczywistość? Siebie także zalicza do takich uciekinierów, bo przeszedł do prestiżowej pracy w cenionej redakcji „Gazety Wyborczej”. A przecież kończy ten tekst słowami: „Wszędzie widzę Pszczew”.

Reportaże te rodziły się ze zrozumienia ludzi wplątanych w mechanizm politycznych przemian. Traktują o mieszkańcach ze wsi lub małych miast, o ich codzienności, a przecież są dowodami naprawdę wielkich przemian. Tyle że nie tylko optymistycznie o nich mówią. Bo gdzie miejsce na optymizm w historii chłopaka, który z przepracowania uległ śmiertelnemu wypadkowi? Takie są teraz reguły: trzeba pracować tyle, ile żąda pracodawca. Nikt tego nie zakwestionuje, bo wyleci. Prokuratorzy, inspektorzy pracy też umywają ręce, bo właściciel firmy jest znany z rozdawania dzieciom cukierków. Ale siostra chłopaka już ma odwagę, aby szukać przyczyn tej śmierci w złej organizacji pracy, nieprzestrzeganiu przepisów i przymykaniu oczu. Przejmujący jest również reportaż o młodych ludziach z Witnicy, którym trudno zobaczyć sens życia w ich mieście, a zagranicą, która rozpoczyna się 25 kilometrów od ich domu, też do rajy zaliczyć nie można. Jakże gorzkie jest twierdzenie pracowników dawnych PGR-ów z innego reportażu, że ich grupa społeczna skazana została na wymarcie. Żyją w skrajnej nędzy, nie mają gdzie cokolwiek zarobić, ale kształcą dzieci, bo wiedzą, że im musi być lepiej. Albo opowieść o panu z Kowalowa koło Ślubicy, który ważne wydarzenia w kraju upamiętniał przez kamienie lub inne konstrukcje. Na przykład koło przystanku autobusowego postawił korzeń



w kształcie serca i uznał, że to serce narodu. Stąd tytuł całej książki a zarazem metafora, że to, co w naszym narodzie najcenniejsze, wcale nie musi wiązać się z wielką polityką, z ważnymi osobami, a tkwić gdzieś na peryferiach, koło jakiegoś przystanku. Ta znakomita książka wyrasta z miłości i szacunku Włodzimierza Nowaka do prostych ludzi. Takich jak jego znajomi z Pszczewa.

Włodzimierz Nowak jest autorem innej książki o temacie równie dla nas – w regionie – ważnym. Jej tytuł – „Obwód głowy”, a tematem są relacje polsko-niemieckie, także nominowanej do „Nike”, a nagrodzonej niemiecką nagrodą kulturalną im. Georga Dehio.

Jury zadecydowało, że nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego za reportaż literacki otrzymał francuski pisarz Jean Hatfeld za książkę „Strategia antylop” o skutkach ludobójstwa w Ruandzie.

*Włodzimierz Nowak, Serce narodu koło przystanku,
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2009.*

Gęś po litewsku z kluskami nadodrzańskimi

Mnożą się rozliczne książki kucharskie, szczególnie z recepturami zagranicznymi. A tymczasem mało wiemy o naszych regionalnych przysmakach. Kuchnia zawsze związana jest z historią i tradycją. Ci, których przodkowie tworzyli kulinarną kulturę ziemi lubuskiej, mieszkają teraz za Odrą. Nasi polscy przodkowie przywieźli swoje kulinarne upodobania ze stron rodzinnych, a tu często nie mogli znaleźć powszechnych tam produktów lub dodatków. Teraz tę sferę kultury wypaczają ogólnie dostępne towary ze wszystkich stron świata i zalecenia dietetyków, preferujących kuchnię śródziemnomorską.

Gdy się o tym wszystkim pamięta, rośnie wartość książki „Kulinarne wędrówki po Nadodrze”. Napisała ją Niemka, Heike Mildner, ale wydana została w dwóch językach, także po polsku. Podstawową część każdego rozdziału stanowi opis uwarunkowań historycznych i geograficznych dla danego kulinarnego aspektu. Na przykład w pierwszym rozdziale autorka przywołuje czasy do XVIII wieku, gdy środkowe Nadodrze było jednym wielkim rozlewiskiem. Bo przecież dopiero w II połowie XVIII wieku Odrę, Wartę i Noteć ujarzmiono, zbudowano im właściwe koryta i stworzono cały system zabezpieczeń przed wylewami. W ten sposób umożliwiono ludziom rolnicze zagospodarowanie ziemi, ale o tym będzie dopiero w następnych rozdziałach. Wróćmy do pierwszego: woda to idealne środowisko dla różnych gatunków ryb, a tym samym ryby stały się podstawą gospodarki i wyżywienia mieszkańców tu ludzi. Bardzo ciekawa jest opowieść o sposobach łowienia ryb, zasadach handlu nimi, a rozdział kończą tradycyjne przepisy, tu: na zupę rybną z Myślborza oraz na miętusa na musie z bzu.

Na historię i gospodarkę regionu ogromny wpływ mieli bracia i siostry z klasztorów, licznie tu zakładanych. W każdym z nich często poszczono, czyli nie jadano mięsa. Ale w jego miejsce ogromnie urozmaicono dania z warzyw, mąki, nabiału, rozpowszechniły się sery. Pamiętajmy także, że to zakonnicy przynieśli nam przepisy na wytwarzanie wina i piwa. Rozdział o kuchni klasztornej autorka wzbogaca przepisami na karpia w sosie piwnym oraz na szaszłyki drobiowo-ziółowe.

W kolejnym rozdziale jesteśmy w końcu XVIII wieku, gdy znacznie przybyło terenów uprawnych oraz lasów. W lasach roz-

mnożyła się dzika zwierzyna, więc trzeba było ją odpowiednio przyrządzać. Mamy przepis na gołąbki z modrej kapusty z nadzieniem z dzika lub na kraszone pierogi z sarniną.

Ciekawy jest rozdział o uprawach na tych żyznych terenach wydartych rzekom, o przemianach warunków życia, obyczajowości, w tym także o nowych potrawach. Tu polecam przepis na pierogi z ciasta francuskiego z nadzieniem z brukwi i koziego sera.

Końcowe rozdziały dotyczą czasów nam współczesnych i przemian, w których uczestniczymy. Nie tylko po polskiej stronie Odry, gdzie osiedlili się nowi mieszkańcy, ale także po niemieckiej zachodzą duże zmiany w upodobaniach kulinarnych. Ich cechą podstawową jest wymieszanie wpływów. Teraz nie musimy ograniczać się do artykułów, które daje nam gospodarka regionu, bo prawie wszystkie towary można kupić nawet w wiejskim sklepie. Wyrazem tego etapu przemian jest na przykład gęś po litewsku z kluskami nadodrzańskimi, a także przepisy na sałatki wiosenne lub zielone, których dawniej przecież nie przyrządzano.

Kto chce, niech spróbuje ugotować potrawy zgodnie z regionalną, ludową recepturą. Tych, którzy wolą współczesną kuchnię, zachęcam do przeczytania „Kulinarnych wędrówek po Nadodrze”, bo to osobliwy podręcznik historii gospodarczej bogato ilustrowany kolorowymi zdjęciami krajobrazów i potraw.

Krystyna Kamińska

Eine kulinarische Reise durch Oderland = Kulinarne wędrówki po Nadodrze / text Heike Mildner, Groß Neuendorf, 2007.

Z. MAREK PIECHOCKI

Chyba nad ranem

A oto widok
Zapylone piaskiem ulice
Po jej obu stronach kilkupiętrowe domy

Szare prostopadłościany
Bezfiranne okna

Pustka
Żadnego człowieka
Zwierzęcia
Wiatr tarnosi jakieś papiery

Bezzielennie

Zdradzieckość ostrego blasku słońca

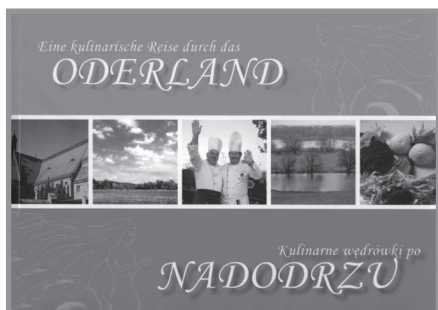
W tym śnie

Chyba nad ranem 2

Byliśmy znacznie młodszy
I było lato

Zboże dojrzewało
I ty
W tej sukience nad kolana

W tym śnie



Nowi członkowie ZLP z pełnym cenzusem

Komisja Kwalifikacyjna przy Zarządzie Głównym Związku Literatów Polskich w Warszawie rozpatrzyła na posiedzeniu wiosennym 36 podań autorów z prośbą o przyjęcie do ZLP. Zbiera się ona dwa razy do roku pod przewodnictwem Andrzeja K. Waśkiewicza, a w jej skład (z prezesem) wchodzi 11 „gniewnych ludzi”, poetów i prozaików: Anna Bukowska, Jan Z. Brudnicki, Leszek Bugajski, Stefan Jurkowski, Jacek Kajtoch, Lech Konopiński, Waldemar Michalski, Wacław Sadkowski, Janusz Termer i Leszek Żuliński. Warunkiem rozpatrywania wniosku jest wydanie co najmniej trzech literacko wartościowych książek poetyckich lub dwóch prozatorskich, w tym także esejów. Każdy z kandydatów musi mieć rekomendację prezesów oddziałów terenowych. Po zapoznaniu się z dorobkiem autorów i opiniami recenzentów wywodzących się ze składu Komisji – status członka zwyczajnego jednogłośnie uzyskali dotychczasowi kandydaci z Oddziału w Gorzowie **Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk** (rec. St.

Jurkowski) oraz **Roman Habdas** (rec. J. Termer). Przyjęto także znanych już w naszym regionie poetów: **Karola Graczyka** – laureata Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2008 (rec. L. Żuliński, przy 1 głosie przeciw i 1 wstrzymującym) oraz **Z. Marka Piechockiego** nominowanego do Wawrzynu 2009 (rec. St. Jurkowski – przy 1 głosie wstrzymującym).

Obok nich status członka ZLP otrzymało 17 twórców z innych miast, m.in. 4 z Warszawy, 3 z Rzeszowa, 2 z Krakowa, 2 z Kielc, 2 z Lublina, 3 z Poznania i 1 z Wrocławia. 15 podań Komisja odrzuciła, w tym dwóch z przyczyn regulaminowych.

Obecnie w gorzowskim Oddziale ZLP jest 24 członków zwyczajnych oraz jedna (ostatnia) kandydatka – poetka, której trzecia książka, potrzebna do weryfikacji, jest już bliska druku.

Gorzowskim nowym członkiem Związku Literatów Polskich szczerze gratulujemy wysokich ocen Komisji.

EUGENIUSZ KURZAWA

Wzmocniona literatura nad Wartą

Podczas uroczystości wręczania ostatnich Lubuskich Wawrzynów Literackich prezes Ireneusz Krzysztof Szmidt przekazał mi całą torbę książek poetyckich wydanych w Gorzowie. Tych pozycji w ostatnich latach ukazało się sporo, właściwie jest to nawet pewnego rodzaju zjawisko, o którym warto powiedzieć, gdyż każdy tomik tworzy i cementuje nadwarciańskie środowisko literackie. A że mam w tym drobny udział – dlatego piszę.

Jak wiadomo z historii literatury lubuskiej, gdy w 1961 r. powstawał oddział Związku Literatów Polskich, to powstał w Zielonej Górze, ówczesnej stolicy województwa. Tworzyli go: Eugeniusz Wachowiak ze Wschowy, Janusz Koniusz, Tadeusz Kajan i Bolesław Soliński z Zielonej Góry oraz Włodzimierz Korsak i Zdzisław Morawski z Gorzowa. Siłą rzeczy życie literackie miało przeżyć zielonogórski. Liczebnie oddział nigdy nie urósł w siłę i nawet w momentach rozkwitu nigdy nie przekroczył liczby 13 członków.

W tym miejscu pozwolę sobie na przeskoczenie kilkudziesięciu lat. W 1996 r. dałem się namówić do kandydowania na stolec prezesa oddziału ZLP i gdy ostatecznie koledzy-wyborcy zaaprobowali moją osobę na tej funkcji, przystąpiłem do... hmmm, ofensywy. Do niezrzeszonych twórców, którzy spełniali kryteria przynależności do ZLP (jako członkowie lub kandydaci) rozesłałem listy zapraszające do udziału w Związku. W ten sposób w dość krótkim czasie oddział zaczął się powiększać, daleko w tyle zostawiając feralną „13”, stanowiącą ongiś granicę liczebności oddziału. Na koniec XX wieku zielonogórski ZLP liczył 21 członków i 13 kandydatów. Kadencję 2000–2003 oddział kończył w liczbie 27 członków i 13 kandydatów, łącznie 40 osób. Rzecz wcześniej nie do pomyślenia! W szczytowym momencie, tuż przed podziałem na dwa przyjacielskie – podkreślmy to – zielonogórski oddział, obejmujący nie tylko województwo lubuskie, ale i jego pogranicze (dwóch członków w Wolsztynie, koledzy w woj. szczecińskim, dolnośląskim), skupiał ponad 40 twórców. Jak nigdy w historii! Ba, był wówczas jednym z prężniejszych w Polsce!

Ale wróćmy do zeszłego wieku. W marcu 1998 r. w Gorzowie udało się doprowadzić do zawiązania Klubu Literackiego ZLP, nad którym oddział ZLP sprawował patronat i opiekę merytoryczną. Kluby ZLP to statutowa forma organizacyjna Związku. Nie mają one pełnej samodzielności, podlegają oddziałowi, ale wybierają własne władze. Moim zdaniem właśnie od utworzenia Klubu ZLP w Gorzowie zaczęła się historia obecnego gorzowskiego oddziału.

Zanim jednak ów Klub nad Wartą powstał, niemal pełny zarząd oddziału zielonogórskiego pojechał na spotkanie z pisarzami gorzowskimi. Odbyło się chyba jesienią 1997 r. w „Lamusie”. Potem było kolejne, też w „Lamusie” (na zapleczu), wreszcie Klub ukonstytuował się, aczkolwiek nie do końca. Nie wybrano bowiem przewodniczącego Klubu, zaś wiceprzewodniczącym został Ireneusz K. Szmidt (jeszcze z oddziału szczecińskiego ZLP), a sekretarzem Roman Habdas. Nie przyjęła propozycji kierowania Klubem i bycia jednocześnie wiceprezesem oddziału ds. gorzowskich Barbara Trawińska. Potem już Klubem kierował, jako wiceprezes oddziału ds. gorzowskich, Tadeusz Szyfer.

Na marginesie – kolejną inicjatywą podjętą już w nowym tysiącleciu – było powołanie wiosną 2001 r., w preżenie działającym środowisku pisarskim Żar, drugiego w województwie lubuskim Klubu Literackiego ZLP, do którego chęć przynależności zgłosili praktycznie wszyscy liczący się w lokalnym środowisku twórcy. Po Żarach ZLP uderzył do Głogowa, skąd pochodzi obecnie kilku członków, aczkolwiek nie udało się powołać tamże Klubu.

W tym miejscu trzeba wprowadzić na scenę – już w pełnym świetle reflektorów – Ireneusza Szmida, który uczestniczył w owym pierwszym spotkaniu informacyjnym w „Lamusie”, ale głównie jako członek oddziału ZLP w Szczecinie i obserwator, m.in. ciekawych wydarzeń w Zarządzie Głównym ZLP, w którym się wówczas trochę kotłowało. Jednak z czasem Szmidt (podobnie jak wkrótce potem Witold Niedźwiecki, Bronisław Słomka, obaj także z oddziału w Szczecinie, Barbara Trawińska z oddziału w Poznaniu – choć wszyscy jednocześnie mieszkańcy Gorzowa) dał się namówić na „przefflancowanie” do oddziału zielonogórskiego, z czasem – na zasadzie niepisanej umowy – został wybrany wiceprezesem oddziału w Zielonej Górze. I z tej pozycji wystartował do wiekopomnej misji tworzenia oddziału nad dolną Wartą.

Trzeba jeszcze powiedzieć, iż grunt pod to wydarzenie przygotował sobie dużo, dużo wcześniej – zresztą wspólnie z Krystyną Kamińską – nie tylko w sposób organizacyjny, ale i merytoryczny. Otóż oboje prowadząc wydawnictwo „Arsenal” systematycznie od

lat wydawali książki zarówno zasłużonym pisarzom, jak i debiutantom, głównie z obszaru dawnego województwa gorzowskiego. W ciągu minionego okresu wydrukowali ponad 50 książek poetyckich, prozatorskich, z których kilka zostało nagrodzonych Lubuskimi Wawrzynami Literackimi, zwłaszcza cenny ze względu na szybkość potem śmierć był laur dla Witolda Niedźwieckiego, natomiast wart krajowych nagród okazał się Wawrzyn Ludwika Lipnickiego.

Zatem Szmidt wraz z małżonką prowadzili i prowadzą od wielu lat przemyślaną politykę systematycznego wydawania książek miejscowym autorom, budując na tym właśnie zrębie dzisiejszy literacki Gorzów z silnym oddziałem ZLP. Gdy bowiem oddział zielonogórski podzielił się, powstały na Ziemi Lubuskiej dwa zbliżone liczebnie oddziały. Zielonogórski ma obecnie 29 literatów, zaś gorzowski 25. Łącznie – notabene – niezły wynik w skali kraju!

Jednakże podczas gdy w minionych latach w Zielonej Górze nikt raczej nie zajmował się w tak troskliwy i przemyślany sposób promocją książek i twórców, duet Kamińska-Szmidt pięknie i mądrze przyczyniali się do uformowania poważnego, zwartego środowiska literackiego.

Druk książek uzupełnia kwartalnik „Pegaz Lubuski”, służący temu samemu celowi co wydawnictwo „Arsenal” (niedawno „sprzedane” Agnieszce Kopaczyńskiej-Moskaluk) oraz ostatnio strona internetowa oddziału. W „Pegazie” systematycznie recenzowane

są ukazujące się nad Wartą książki, przeczytać można polemiki, prezentuje się debiutantów etc. To wszystko jest bardzo istotne dla cementowania się środowiska twórczego: mieć swoją trybunę, móc w niej przedstawiać swoje opinie i twórczość.

Poza tym są jeszcze inne ważne poczynania na tejże literackiej niwie, że wspomnę konkurs literacki (ogólnopolski) im. Z. Morawskiego, prężnie działające Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury i jego warsztaty.

Wbrew pozorom nie ma tego wszystkiego Zielona Góra, choć ukazuje się tutaj sporo periodyków, są wydawcy, czasopisma, a nawet raz na rok przyznaje się Wawrzyn. Jednak forum dla prezentacji twórczości, miejsca ścierania się opinii twórców (nie tylko literatów zresztą) ewidentnie brak. Wawrzyn to tylko okazja do poczęstunku kanapką i ciastem, wypicia szampana i... szlus.

Cieszę mnie, że kolegom po piórze z północy województwa udało się. I cieszę się, że mam w tym skromny udział, gdyż od momentu gdy tylko powołaliśmy nad Wartą Klub Literacki, byłem przekonany, że musi tu powstać solidny oddział. I to się sprawdziło.

Eugeniusz Kurzawa

Prezes Oddziału ZLP w Zielonej Górze

ALEKSANDER NAWROCKI

Życie literackie w Gorzowie

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Gorzowie Wielkopolskim przesłała mi kolejny numer „Pegaza Lubuskiego”, wychodzącego już od pięciu lat. Pismo chce się czytać. Ma ono stałe rubryki: wiersze, polemiki, recenzje, rozmowy poetów o poezji (...)

Dobrze, że jest takie pismo i dobrze, że Ireneusz K. Szmidt ma w dzisiejszych czasach siłę je wydawać, a Wojewódzka Biblioteka dofinansowywać. Złośliwcy, zresztą z własnego terenu, nie mają słuszności nazywając je „enklawą literatury regionalnej”, czy pismem „niszowym”. To przecież ich pismo i o nich, w którym się drukują, więc nie szanując go, nie szanują również siebie. Określenie „poeta niszowy” jest kwestią własnych kompleksów, a nie miejsca, w którym publikuje. W tzw. niszowych pismach publikują też nobliści i korona im przez to z głowy nie spada. A kompleks tworzenia na prowincji jest po prostu głupi.

Znam wielu wybitnych poetów, mieszkających na Suwalszczyźnie, Sądectwie, Kurpiowszczyźnie, w Bieszczadach i nie pchają się oni do stolicy, a przecież zna się i ceni ich twórczość. Nie pcha się też do stolicy np. Olga Tokarczuk, bo po co, skoro czytają jej książki wszędzie.

A tak na marginesie naszych rozważań: przecież z Gorzowa Wielkopolskiego jest bliżej do Berlina, Paryża, Brukseli niż z Warszawy. Kazimierza Furmana też wszędzie znali i jego przedwczesne odejście jest dużą stratą dla całej kultury polskiej, nie tylko dla Gorzowa Wielkopolskiego.

Podobnie jak strata Mariana Yopha-Żabińskiego ze Szczecina, poety, którego wiersze się pamięta. Debiutował u mnie „Starodrzewem” w 1980 r. Od tamtej pory przeminęło wiele szkół literackich i wielu twórców, będących wówczas na fali. A wiersze Mariana cały czas żyją i czytają się w nas, również głosem jego przodków: „kto nie mieszka w przodkach, a oni w jego słowach, ten dawno umarł”. (...)

Fragment tekstu poety, założyciela i red. nac. dwumiesięcznika „Poezja dzisiaj” Aleksandra Nawrockiego, który został zamieszczony w nr 79/80 poświęconym Światowemu Dniu Poezji.

Zielonogórzanie zapraszają

Z przyjemnością informuję, iż oddział ZLP w Zielonej Górze uruchomił właśnie swoją stronę internetową: www.zlp.like.pl, na którą serdecznie zapraszamy. Proszę jednocześnie o przekazanie powyższego adresu, może znajdą się chętni do zajrzenia. Jest to istotne dla nas w kontekście konferencji naukowej, którą szykujemy wspólnie z Uniwersytetem, z okazji 50-lecia oddziału w 2011 r. Być może ktoś chciałby przyjechać na nasz jubileusz, wygłosić referat na konferencji. Zatem wszystko, co temu będzie sprzyjać, jest dla nas ważne.

W najbliższej przyszłości zamierzamy uruchomić kwartalnik literacki na tejże stronie, o ile oczywiście znajdą się autorzy i pomocnicy w tej pracy, bo wszystko robimy społecznie.

Strona ta powstała głównie dzięki wysiłkowi Roberta Rudiaka. Proszę na www.zlp.like.pl zaglądać często. Chodzi o to, żeby ta strona żyła, żeby były zawsze świeże informacje o życiu literackim, jak też nasza twórczość.

Pozdrawiam.

– Eugeniusz Kurzawa

Od red. Z niemniejszą przyjemnością zamieszczam ten komunikat prezesa bratniego Oddziału, tym bardziej że gorzowscy pisarze też swoją stronę już mają, dzięki jej twórcy i administratorowi Ferdynandowi Głodzikowi.

Pamiętajcie: www.zlp.gorzow.prv.pl. Kolegów z Zielonej Góry zapraszamy do wirtualnych podróży także do nas. Z serdecznym uściskiem dłoni

– Ireneusz. K. Szmidt

Rada Wydawnicza wyraziła opinię, prezydent daje kasę

Na wniosek Wydziału Kultury Prezydent miasta powołał na początku ub. roku Radę Wydawniczą, żeby oceniała pod względem merytorycznym i priorytetowym dla polityki kulturalnej miasta projekty instytucji i wydawnictw gorzowskich składane na kolejne lata XXI wieku.

W 2010 Rada zaproponowała, by pan prezydent rozdzielił mianą sumkę **54,4 tys. zł**, jaką dał jej do dyspozycji, w sposób następujący:

Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny t. 17 (Archiwum Państwowe w Gorzowie Wlkp.) – **10 tys. zł**,

Rocznik wydarzeń kulturalnych za 2009 rok (Grodzki Dom Kultury) – **12 tys. zł**,

Katalog podsumowujący działalność Galerii Sztuki Najnowszej (Miejski Ośrodek Sztuki) – **12 tys. zł**,

okolicznościowe wydawnictwo dotyczące 30-lecia Galerii BWA (Miejski Ośrodek Sztuki) – **11 tys. zł**,

Antologia 10-lecia Klubu Poetów Okrągłego Stołu przy GDK „Wchodzę na drzewo życia” (Grodzki Dom Kultury) – **4 tys. zł**,

Agnieszka Moroz: „Automat z iluzją” – drugi tomik wierszy uzdolnionej gorzowskiej poetki (Związek Literatów Polskich, Oddział w Gorzowie Wlkp.) – **2.400 zł**,

Alicja Łukasik: „Przebudzenie” – debiut młodej poetki, uczenicy I LO (Związek Literatów Polskich, Oddział w Gorzowie Wlkp.) – **2 tys. zł**.

Miła to dla nas wiadomość, że spośród trzech propozycji zgłoszonych przez Zarząd Oddziału ZLP dwie otrzymały dofinansowanie. Gorsza, że tylko dwie, bo w poprzednich latach pod auspicjami ZLP w Bibliotece Pegaza Lubuskiego ukazywało się co roku 5-7 książek – w sumie przez 5 lat 33 pozycje. Było to możliwe także dzięki temu, że na książki te otrzymywaliśmy nieco więcej pieniędzy w formie dotacji z budżetu miasta dla organizacji pozarządowych biorących udział w konkursie ofert na realizację zadania publicznego. Było ono określone w dziale II rozdziału 2 *Ustawy z dnia 24 kwietnia 2003 r. o działalności pożytku publicznego i o wolontariacie (Dz. U. Nr 96, poz. 873, z późniejszymi zmianami)* jako *Edukacja kulturalna ludzi dorosłych i promocja ich twórczości w różnych dziedzinach sztuki oraz Organizacja przedsięwzięć kształtujących oblicze kulturalne miasta*. Ale *Uchwała Rady Miasta Gorzowa Wlkp. Nr LXV/1032/2010 z dnia 25 listopada 2009 roku* w sprawie uchwalenia Programu współpracy Miasta Gorzowa Wielkopolskie-

go z organizacjami pozarządowymi i innymi podmiotami w 2010 roku zawęziła dotowanie projektów kulturotwórczych składanych jedynie przez organizacje – cytując za ogłoszeniem na stronie internetowej UM: *prowadzące działalność pożytku publicznego w zakresie: rozwoju kultury i ochrony jej dóbr oraz podtrzymywania tradycji narodowej*.

W bieżącym roku wszystkie projekty wydawnicze skierowane zostały do **Rady Wydawniczej**, która wskazała te, które spełniały wymogi regulaminowe i na które starczyło pieniędzy. Tylko że tych pieniędzy było nieco ponad 50 tys. zł, czyli prawie tyle, ile by kosztowało wydanie przez WiMBP jednej książki z utworami zebranymi Jana Grossa. Książek odrzuconych przez Radę było ponoć trzy razy tyle, ile tych, które otrzymały dotację.

Nowy system zrodził także nowe mechanizmy: autor książki lub wydawca musi zadbać o jej, przed złożeniem wniosku, techniczne opracowanie, korektę, skład, wydruki i wersję elektroniczną. We właściwym terminie, na początku roku kalendarzowego złożyć wniosek do Rady Wydawniczej i czekać: będzie „kasa” czy nie. Jeśli nie – praca i koszty, które już poniósł, pójdą na marne. Wnioski do Rady o dofinansowanie książek mogą zgłaszać nie tylko instytucje, ale także osoby indywidualne – same lub za pośrednictwem wydawnictw. Ale w obliczu „potęgi” instytucji, marne są ich szanse. Może w przyszłym roku ktoś wpadnie na pomysł, że instytucje, których organem założycielskim jest miasto czy województwo, powinny mieć pieniądze na wydawnictwa zaplanowane z góry w swoim budżecie, a nie wydzierać je twórcom, którzy bez mecenatu państwa pójdą na żebro do miejscowej burżuazji lub... Chińczyków w strefie przemysłowej. Tym bardziej że na ten rok budżetowy na realizację zadań tego samego rodzaju z zakresu kultury i ochrony dziedzictwa narodowego miasto Gorzów przeznaczyło niebagatelną kwotę łączną w wysokości 8.161.306,00 zł, w tym m. in.:

1) 7.356.306,00 zł – na dotacje dla instytucji kultury,

2) 805.000,00 zł – na dotacje celowe na dofinansowanie zadań zleconych do realizacji stowarzyszeniom.

Ile z tych stowarzyszeń spełnia wymogi z ogłoszenia pana prezydenta i PRO PUBLIKO BONO daje materialne świadectwo swojego udziału w kształtowaniu oblicza kulturalnego miasta?

Ireneusz K. Szmidt

Dziedzictwo kulturowe regionu pogranicza

W dniach 27-28 kwietnia odbyła się III Międzynarodowa Konferencja Interdyscyplinarna pt. „Dziedzictwo kulturowe regionu pogranicza”. Zorganizowali ją wspólnie Instytut Humanistyczny Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Gorzowie Wlkp. oraz Zielonogórsko-Gorzowskie Wyższe Seminarium Duchowne w Paradyżu. W pierwszym dniu obrady odbywały się w Ośrodku Naukowo-Dydaktycznym PWSZ w Rogach, zaś w drugim – w siedzibie Seminarium w Paradyżu. Zaproszeni prelegenci przedstawiali swoje referaty podczas obrad plenarnych, a także w trzech sekcjach, z których każda miała oddzielną tematykę. W pierwszej zajmowano się literaturą, w drugiej – socjologią, a w trzeciej historią i życiem duchowym. Prelegenci przyjechali na konferencję z wielu ośrodków: z zagranicy (Francja, Ukraina, Niemcy) oraz z Warszawy, Zielonej Góry, Szczecina, Olsztyna, Łodzi, Gdańska i Siedlec.

Tematyka wygłoszonych referatów była rozległa, jako że pogranicze oddziałuje na wiele aspektów życia w przeszłości i obecnie. Również ważne miejsce zajmuje literatura i język. O problemach z tej dziedziny mówili m.in.:

prof. dr hab. Małgorzata Mikołajczuk (Zielona Góra) – Co zostało na dnie „kulturowego tygła”? Echo miejsc utraconych w twórczości lubuskich autorów,

prof. dr hab. Jerzy Madejski (Gorzów-Szczecin) „Układ o nieagresji słów...” – Poezja pogranicza Władysława Łazuki,

dr Tadeusz Kuśmierowski (Siedlce) – Obraz pogranicza w powieściach „Moja młodość” Hansa Marchwitzy i „Czarna Julka” Gustawa Morcinka,

dr Krystyna Kamińska (Gorzów) – Sebastian Grabowiecki – poeta polskiego baroku w bledzewskim klasztorze,

Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk (Gorzów) – Kulturotwórcza rola Karin Wolff – odkrywanie poezji Kazimierza Furmana,

mgr Urszula Prymus (Szczecin) – Literackie reprezentacje synagogi w Landsbergu (w twórczości Christy Wolf),

mgr Beata Patrycja Klary (Gorzów) – Poeta demiurg jako kreator budowanie tożsamości. Animacja działań literackich w RSTK, GDK, ZLP i portalu PKPZ-in.

Konferencje tematycznie związane z dziedzictwem kulturowym gorzowska PWSZ organizuje co dwa lata. Referaty publikowane są w specjalnych wydawnictwach. I choć tematyka wystąpień jest bardzo szeroka, konferencje te (oraz publikacje) pozwalają zainteresowanym szerzej poznać swój region, a także inspirować do refleksji na temat miejsca regionu w życiu człowieka oraz w kulturze.

(K.K.)

Refleksje powarsztatowe

Już po raz dwudziesty ósmy członkowie RSTK w Gorzowie Wielkopolskim oraz goście z Polski i zagranicy zaproszeni przez Czesława Gandę uczestniczyli w Interdyscyplinarnych Warsztatach Artystycznych, które odbyły się w dniach 20-29 maja w Gorzowie Wlkp. i Garbiczu, pod honorowym patronatem Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Marszałka Województwa Lubuskiego.

Podstawowa formuła warsztatów nie zmienia się od lat, ale co roku następują niewielkie modyfikacje programu. W tym roku było kilka nowości. Już w pierwszym dniu warsztatów, 20 maja 2010 o godzinie 21.00 w kawiarni MCK (Magnat) odbył się slam poetycki o Złotego Pieroga. W dotychczasowej tradycji warsztatów tego jeszcze nie było! Pierwszy slam w Gorzowie odbył się w ub. roku podczas Festiwalu Poezji „Wartal”.

Spośród 14 poetów zmagających się ze sobą w parach, po kilku eliminacjach, autor tego sprawozdania został w półfinałach wyeliminowany przez młodą poetkę o niebywałym uroku – Agnieszkę Moroz. Ta zaś, niestety, przez starego wygę turniejowego, Wojtka Ossolińskiego z Prudnika. Miał skuteczniejszą taktykę i był najlepszy aktorsko. Jego wiersze-groteski podobały się ludziom. Finałowy „Walc”, który przyniósł mu I miejsce w slامية, został napisany w poetyce Tuwima. Drukujemy go obok.

Drugi warsztatowy dzień zakończył się „Nocą poetów” i wspólną kolacją w bursie. Uczestnicy prawie ci sami, ale wiersze „przechodziły” płynniej i wolniej. Nie da się ukryć – slam poetycki miał swój sportowy nerw, a w „Nocy” niektórzy poeci (może ja też?) czytali za dużo wierszy. „Noc poetów” niesie za to odrobinę romantyzmu, łagodności i być może subtelniejszą, bardziej finezyjną poetykę. Między wierszami śpiewali: Łukasz Jakubowski, Marzena Śron, Katarzyna Gólczyńska, Łukasz Reks i Aleksandra Jach.

Sobotnie przedpołudnie to happening na rynku gorzowskim i wspólne malowanie panoramy Gorzowa. Nad stroną plastyczną czuwał artysta malarz – profesor Eugeniusz Geno Małkowski z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. Dynamiczny, ciepły, medialny, a nade wszystko młody duchem. Obraz malowali nie tylko uczestnicy warsztatów: plastycy, poeci, muzycy, filmowcy, ale i osoby przypadkowo przechodzące. Nawet proboszcz parafii katedralnej, ks. Zbigniew Samociak, domalował własnoręcznie krzyż na wieży katedralnej. W tle grała Gorzowska Orkiestra Dęta pod batutą Bolesława Malickiego, soliści śpiewali, poeci czytali wiersze i obraz też był udany. Przejęła go oficjalnie wiceprezydent Gorzowa, pani Zofia Bednarz, odprowadzona do Urzędu Miejskiego przez orkiestrę dętą.

Po drodze do Garbicza w Sulęcinie próba programu poetycko muzycznego „Ave Maryja”, który w niedzielę został zaprezentowany w miejscowym kościele. A w Garbiczu od poniedziałku poeci poprawiają swoje teksty pod okiem konsultantów, malarze malują plenery, filmowcy robią z tego film, wokaliści ćwiczą nowe piosenki na wieczorny koncert. I tak do czwartku włącznie. W piątek powrót do Gorzowa na koncert galowy w Miejskim Centrum Kultury połączony z wystawą prac plastycznych powstałych podczas warsztatów.

Grupa konsultantów była w tym roku wyjątkowo silna: sekcji literackiej patronowali Zdzisław Łączkowski i Leszek Żuliński, sekcji plastycznej Eugeniusz Geno Małkowski, a sekcji muzycznej Czesław Ganda i Grażyna Łobaszewska.

W pracach sekcji literackiej (mojej) pojawiały się elementy intrygujące i zaskakujące. Zdzisław Łączkowski na swoim wieczorze autorskim czytał poematy, które – zdawać by się mogło – swoją długością przekraczają granice percepcji współczesnego odbiorcy. Leszek Żuliński zaprezentował kilka wierszy rymowanych, na które – zdaniem niektórych krytyków – podobno dawno minęła moda, i esej o poezji współczesnej.

Ferdynand Głodzik

WOJCIECH OSSOLIŃSKI

Walc

Wtedy umierały świece.
Kelner z białów ścierał
zapewnienia.

Płasanie, popłatanie,
pianista.

Czysta siła nieczysta.
Pewność z niepewnością
się plecie.

Jak nęcić chęci, kiedy piersi
dogadały się z przemijaniem,
biodra z kamieniem,
tylko pod zazdrostką rzęs
uroczyśka.

... Wyrwała się progowi.
Walc.

I raz, dwa, trzy, razdwatrzy,
posuwiście za nogą,
uroczyście i błogo.
Walc.

Dłoń na dłoni i blisko
przekonuje kołyską.
Już nie puszcza jej z ręki,
stopy kreślą ósemki.
Zamknął w sobie. Zatrzasnął.
A jej ciasno – tak ciasno!
Walc.

Kuchcik w rondlu zamiera
choć miał do fryzjera.
Barman trunki pomylił,
burbon czystą zapylił,
wzrokiem parę prowadzi...
Szeptem prosi pianistę:
– przerwij grę, daj jej wyspę.
Niech się mała wyciszy,
niech się w łzie mi nie kręci,
zdmuchnij iskry z klawiszy,
przecież on ją zadreńczy!
Stój!

Rozłożyła ramiona,
już nie walc, tylko ona.
Jeszcze tylko piruet.
Dłonie biegną ku górze,
żeby tak jak najdłużej!
Walc!

Sala w taktach się skręca
w świecę, parkiet,
w udrękę,
za barmanem pianistę,
roziskrzzone klawisze...
żeby z tamtym być bliżej,
już nie chronić od krzyku
rozedrganych przedświtów.
Walc!

Barman
trunków nie miesza,
setką siebie rozgrzesza
– warto żyć dla tej chwili –
drugą setkę przechylał,
łokciem trącił pianistę:
– Zagraj forte, ma wyspę.
Walc!

Wieczór autorski

Vis a vis gniecie krostę
goryl wyrwany z betów
paluchem z nosa przędzie
purchawka w drugim rzędzie
pawian z saka jej wyjął
parszywie brudny grzebień
i włoski co mu stoją
próbuję śliniąc paluch
ułożyć w poprzek zwojów
butelkę siorbie sraluch
perwers chrupie cukierka
sroka poprawia stanik
pingwin puścił „tajniaka”
ciepło zarechotali

czuję poniżej krzyża
wściekle stado pijawek
dali by szklanek wody
tak na wszelki wypadek

gdybym mógł strzelać w gały
albo żyłką schlastać
ech w uszy im dynamit!
a niech ich pederasta!

znów pingwin puścił bąka
– czytaali my czytaali
dlaczego Panie Boże
nie mogę w mordę walić?

gorzów
PRZYSTAN

I Gorzowskie Spotkania z Książką

10 i 11 kwietnia w Hali Targowej nr 1 przy ul. Przemysłowej 14/15 miały się odbyć I Gorzowskie Spotkania z Książką. Starannie przygotowana przez Wydział Rozwoju i Promocji Miasta UM impreza z powodu katastrofy smoleńskiej skończyła się pierwszego dnia wczesnym popołudniem. Wydawcy, ich autorzy, dystrybutorzy, bibliotekarze i propagatorzy książki z Gorzowa i nie tylko zwinęli swoje kramy, bo ludzie zostali w domach przed telewizorami oglądając reportaże na żywo z miejsca katastrofy. Nie muszę mówić, że atmosfera smutku zapanowała nad całą halą. Odwiedzaliśmy się nawzajem w stoiskach, żeby dzielić się bólem i domysłami. Trudno w tej sytuacji nawet książką handlować. Sami sobie byliśmy klientami. Z książką łatwiej... Może w przyszłym roku...?

FERDYNAND GŁODZIK

Nad ruczajem

Wyteśknieni oboje wspólnego wyraju,
oswajamy pensjonat w zakolach ruczaju.
Ranek senny od rosy tchu życia nabiera;
blasków ciepła spragniony sam okno otwieram.

Park karmiony mżawkami przez smutne złe noce,
senną parę wyziewa z chłodnych zawilgoceń;
chuda wierzba nad stawem milcząco surowa,
jak nad żuru talerzem posiwiła wdowa
i bór górą przepastny soczyście zielony,
wypełniony gromadą świerków załzawionych.

Ty śpisz jeszcze zmęczona wczorajszym wieczorem,
tęsną mgłą co się w niebo unosi nad borem,
a ja z myśli co we mnie niezdarne kolebie
zgarniam radość współbycia by ogrzać nią ciebie.

Karzeł

Wymailo się słońce z wilgoci i pluchy,
idą w taniec magowie, wróżbici, szeptuchy;
w noc majową, jaśminową,
z nimi obraz, dźwięk i słowo;
zostawiają za sobą świat szary i głuchy.

Kto tych nocy doświadczył, ten ich nie przesypia;
karzeł mruży uparcie niespokojne ślipia;
w smukłych cieniach tańczą ściany,
pędzle, farby i blejtramy,
w dali odgłos fujarki wierzbowej zaskrzypiał.

Para bardów steranych przez długie półwiecze,
w pojedynku się zwarła jak nagie dwa miecze;
kto najlepszy z trubadurów,
który godzien pieśni chóru;
komu ciepła kucharka pierożek upiecze?

Po dniu pracy zasypia w ulu pszczoła miocna,
rybki całe akwarium opróżniły do dna;
wzięły oddech po namyśle,
bo te ryby są dwudyszne;
jaśminowo się snuje jutrzeńka pogodna.

Odpywają w zaświaty wieczorne mamidla;
ciężkie rosą poranną pegazowe skrzydła;
po majakach krótkiej nocy karzeł budzi się z niemocy
i powstaje z posłania jako brzmiały cymbał.

KRYSTYNA CABAN

Ozdobne W.

Pana W. poznałam
w czasie kwitnienia jaśminów
wspólne chwile
wyhaftowałam
na kołnierzyku
nitką koloru nieba

minęły lata

nasz jaśmin przekwitł
ostatnia noc usnęła
jeszcze w jego zapachu

BEATA PATRYCJA KLARY

Wiersz nagrodzony przez jury konkursu w składzie:
Zdzisław Łączkowski i Leszek Żuliński oraz w plebiscycie publiczności

ławka z widokiem na browar

Gołębie srają wszędzie. Kompletne ogrodzenie, choć nic nie odgradza,
nie stanowi przejścia. Płot lub mała płotka z heblowanej deski zatrzymują

w naskórku drobinki wulkanu. Obcość mówi więcej niż bliskość kochanka.
Struktury są odmienne. Pasma drżą pionowo. Puder osusza fałdy i miejsce

pod biustem. Masz pociąg osobowy, albo interregio z relacją poza obszar
najmniejszego palca. Gołębie srają wszędzie. Wydalasz kamyki. Wystarczą

dwie godziny potrzebne na dobę. To nic, że drzesz kosmówki, stawiasz opór
krzykiem: my, którzy pijemy, wiemy, że to nieważne dlaczego. Więc setka,

a potem obiecasz, może nawet bajki, i że będziesz się trzymać z dala od
zwirowni. W życiu dobrze mieć plan na szybkie opadanie, na skupienie kiedy

widzisz plamki, bo wtedy najlepiej wymykasz się wszelkim opowieściom.
Idziesz do wychodka. Pachnie jaśminem. Tylko gołębie srają wszędzie.

abdykacja

Chowasz koronę i się nie przyznajesz. Złote pióra upychasz
w kieszeniach, rozporoku. Nie chcesz siebie wydać. Ma lecieć
dobrze, więc leci, gdy nacinasz skórę o zbyt ostrą kartkę.
Plamisz kratkę. A kratak jest dwadzieścia siedem dołem i
czterdzieści jeden w górę. W tym międzykraciu cały się nie
schowasz. Za dużo takich samych sąsiadów, choć nie wiesz
co znaczy żyć życiem koleśia w kraciastej koszuli. Jabłko
lubisz nawet miękko podotykać. Trzeba udawać, że się nie
jest dla siebie. Stawiać na innych. Stawiać innym. **Do wewnątrz.**
Tron okryty kapą nie przypomina końca. Śpisz w nim. Embriion
zassany w łożysko, wtulony. Sam, bo nikt o tym nie wie, że tu
właśnie śnisz proste zdania, liczysz binarnie. Jedyńka – ty i nic
poza jeden. Tylko dobre sny nagradzasz oklaskami. **Do zewnątrz.**
Nie bycie nikim dopiero tutaj ma sens, choć i tak wyrzucili już.
czerwony płaszcz. Dużo nagrzebali, zamieszali. Ciało zszyli.
Ale dlatego właśnie, że byłeś zawsze sobą – uszanowali. Pierścień
błyszczący, a blask sący, choć wszystko jest martwe tak samo
jak wszystko jest żywe. Przemijasz. Nie bierzesz tego. **Do.**

persipan

Lubię jak stajesz się małą świnką. Świntuszkciem. Jak wodą
gorzkiego migdału masowo uśmiercasz kobiety. Przyłożony
do rozwarcia, do jedynej rany jakiej nie mogą zbliżnić.

Mają małe pestki, które puchną od nadchodzącego orgazmu.
Karzą robić sobie dobrze. Wystawiają gardła. Amigdalina
przyspiesza obieg tlenu. Dopiero później czują zmęczenie.

Dla ciebie nie różnią się. Mięso zawsze pozostanie mięsem.
Jedynie smak kisielu ulega zmianie. Zamawiasz spore porcje.
Gdy odchodzisz brudne miski zapychają zlew.

Sponsorami tegorocznej edycji Warsztatów byli: Urząd Miasta Gorzów Wlkp.
Starostwo Powiatowe w Sulęcinie, Hartmann Polska, Drukarnia Osgraf, Miejskie
Centrum Kultury, Vetiquinol Biowet Gorzów, Pałac Magnat w Garbiczu.

PEGAZ LUBUSKI

Czasopismo literackie pod auspicjami WiMBP i ZLP.

Red. nac.: Ireneusz K. Szmidt (tel. 501 520 227, e-mail: wag.arsenal@wp.pl),

sekretarz: Danuta Zielińska, współpraca: Krystyna Kamińska, Marek Grewling,

zdjęcia: I. K. Szmidt, Ferdynand Głodzik, archiwa wydawcy i autorów,

projekt okładki: Zbigniew Olchownik

Wydawcy: Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna, ul. Sikorskiego 107, tel. 95 727 70
70, e-mail: informacja@wimbp.gorzow.pl, i ZO ZLP w Gorzowie, adres j.w.

www.zlp.gorzow.prv.pl, skład komputerowy: Daniel Besta i I. K. Szmidt

SŁAWOMIR OSIŃSKI (SŁOŚ)

BAKOIDA

Napisz wiersz
aż po sierść
weń się wwierć
wdrap się w takt
jak na perć
wtedy treść
da ci znak

ROBACZNICA

Mucha bombowiec
wielka zadczycha
u okna czyha
wlatuje turkotliwie
a ja na nią tkliwie

Tak to zobaczyć
zaiste curiosum
wszak owa mucha
paskudne odiosum

AKT 1

Zły tekst
pre tekst
że jest
sam seks
i tylko test
osteron
jak baron

WG WIESZCZA

Zajęzyczyć
wybzdyczyć
krytyczyć
na smyczy
muzy
niesformej
na tuzy
poezji
odpornej

INFANT

Berbec
z berłem

MIŁOŚĆ

Wniebowstąpienie
serca

RADIOM

Cna melodyja
płyń z radyja
potem pacierze
szczerze i wierze
a później jady
grzechu pokłady
triumf po uszy
faryzeuszy

ĆMAWOŚĆ

Ćma włochata
cicho lata
nietoperza
karma świeża
w jego paszczy
chyżo znika
bo on radarny
wyczuwa karmy

BAKOIDA 2

Kret draży
pograży
że pęd nie zdąży
z korzenia
znaczenia
docenić
więc treści liście
klapną
zamaszyście.

ODA
DO BIEDRONKI

Mój biedronku
paskudzionku
kropkowany
wedle wzoru
bożykrówku
dla bachorów
pocholerę tożożyjny
kreposzyi mszycopijny
słuchaj moich próśb
jak trzeba
i leć z nimi
aż do nieba

FERDYNAND GŁODZIK

Burzliwie

Zelżały przymrozki, przebrzmiały już deszcze
i słońce przygrzewa krzykliwym wytrzeszczem
po grzbietach Krzeptówki burzliwie zagrzmiało;
rozkrzewia się zieleń gdzie krzyne przygrzało.

Niebrzydka i hoża

Mężatka niebrzydka, przekorna i hoża
kluczyła i grzęzła na licznych bezdrożach;
przysłużył się temu małżonek marynarz,
co z rzadka przypląwał i zrzędził nad wyraz.

Pożrzadło

Zegarmistrz sędziwy z wioseczki Pożrzadło
miał rzadką nadzwyczaj i przykrą przypadłość
gdy przyszły klientki urocze i hoże,
to nie mógł im sprostać, choć myślał, że może.

Praprzodek na przyzbie

Raz ugrzązł na przyzbie zgrzybiały praprzodek,
co zgrzał się przemożnie zgorzałym swym wrzodem;
aż rzodkiew w nim przasna zagrzmiała od środka,
przekroczył więc odrzwia i wszedł do wychodka.

Przemysłne trzewiki

Przewietrzał Przemysław trzewiki na drzewie,
choć przewiew dzisiejszy już nie ten, co drzewiej;
a trzewia przegrzane na zdrożnym przemycie;
buszuje w nich zgorzel i skrzy się w niebycie.

Przylaszczki

Przekwitły przylaszczki w przedmieściach
nad Przemszą,
bo przestrzeń okrzeplą ujrzały mądrzejszą
Przebrzmiały już brzaski w Wąbrzeźnie
i w Śremie
Nad rzeką, gdzie grzęzną przybrzeżne żeremie.

Kokoszki

Nim prądka wieczorem przepaskę uprzedzie,
pierzaste kokoszki się zdrzemną na grzędzie,
a kogut o brzasku naostry swój grzebień
i krzemień szponami spod żwiru wygrzebie.

Grzechotnik

Przemysłał grzechotnik, gdy złowić chciał brzanę,
w obszernym czerepie trzepotał się grzaniec;
przymulał, przeszkadzał, podgrzewał od środka,
a w trzcinach rzeziła przygodna rzekotka.